

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 12. Warszawa, dnia 11 (23) Marca 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie.	rs. 8 k. —
półrocznie . . .	„ 3 „ „	półrocznie.	rs. 4 k. —
kwartalnie. . .	„ 1 „ 50	kwartalnie	rs. 2 k. —
miesięcznie. . .	„ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.	

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, Št.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

PARAFIA.

Wiek nasz bezwątpienia nie jest wiekiem spotęgowanej wiary. Co przyszłość kryje w swem łonie, przesądzać tego nie śmiemy, ani zamierzamy kreślić przyszłe ideały dla ludzkości, której religijność stanowią zawsze najszczytniejsze uczucia jakie wytworzyć w sobie była zdolna; uznajmy tylko niezbitą prawdę, iż w epoce naszej, wiara na skrzydłach dogmatu nie wznosi człowieczeństwa, tak jak wtedy gdy była jedyną wszechpotężną dźwignią ducha ludzkiego. Taki stan rzeczy czegóż wymaga od ludzi dobrej woli i jakiem pragnieniom rozwinąć się nakazuje? Oto używotnienia wiary tam gdzie ona stoi jeszcze na silnych podstawach w całej swej prostocie, gdzie stanowi jedyną prawie potęgę umysłową i moralną, gdzie brutalną siłę trzyma na wodzy za pomocą zespolonej z dogmatem wzniosłej etyki chrześciańskiej.

Nie budzi w nas uczucia zgrozy indyferentyzm religijny oświeconego człowieka, z rozwiniętym należycie umysłem i uczuciem, ale człek ciemny, struty szumowinami cywilizacyi, czy oplątany przesądem; bez wiary lub z wiarą martwą, która nie zapuściła w jego duszę umoralniających pierwiastków, jest straszydłem przerażającem. Widmo bezwyznaniowych tłumów ukazało się już w zachodniej Europie i ukazało się niemniej okropne jak niegdyś widok mas sfanatyzowanych. A u nas?

— O! u nas tego nie ma, u nas tego być nie może, nasz lud zbyt głęboko jest religijny, odpowie każdy bez wahania.

W istocie, u nas nic podobnego do komuny paryzkiej, lub zbydlęciałej tłuszczy berlińskiej nie okaże się zapewne, a pod względem wierzeń religijnych libertynizm, chyba między wielkomiejską służebną klasą i też rzadko widzieć się daje; lud nasz jest religijny, prawda to pocieszająca dla tych, którzy nie pytają się czy jest moralny?

Lud nasz wierzy w naukę kościoła, dodajmy iż bardziej jeszcze wierzy w przesądy, zabobony oburzające bezmyślnością, a nieraz przerażające i zgubne. Wierzy niezłomnie i zewnętrzną obrzędową stronę religii czci najświęciej, tym silniej im dany przedmiot wiary bardziej zmysłowy jest i zwyczajowy tylko, ale srogiego rozczarowania dozna każdy, co przywykłszy do wychwalania żywej wiary prostaczków naszych, zechce głębiej zbadać w nich tę istotną stronę religijności, gdzie ona rozświeca mroki sumienia, tworzy obyczajową, towarzyską cnotę i podnosi człowieka do stopnia istoty moralnej. Z pewnością zbuduje się każdy gdy ujrzy lud nasz cisnący się w podwoje wiejskiego kościoła, zachowanie się jego podczas uroczystości religijnych, usłyszy święte słowa wymawiane co chwila, a podczas postu przyjrzy się jego strawie spożywanej co najwyżej z odrobiną cuchnącego oleju. Zbuduje się każdy ujrzawszy jak włościanka ciężko zapracowane kilkanaście złotych daje na świece do kościoła, jak lud sypie trzygroszniaki na „zdrowaśki," ostatni grosz nieraz daje na spełnienie ceremonij kościelnych. Nieraz rozrzewniamy się religijnem uczuciem maluczkich... ale wejrzawszy głębiej nie znajdziemy tej pociechy, ze smutkiem poznając na jak niski stopień wzniosło się dotąd to uczucie w ludzie naszym, i nieraz przyjdzie nam zamyślić się czy fetyszystę widzimy przed sobą czy chrześcianina? Każdy komu nieobce są stosunki parafialne zgorszy się bardzo, widząc jak mało obrócono na moralną korzyść ludu uczucie religijne, choć ono stanowi nieledwie treść życia prostaczków.

Oprócz rodziny nie ma u nas podobno dla ludu silniejszego ogniwa społecznego nad parafię. Dla włościanina kościół jest szkołą, mistrzynią życia, księgą, najwyższą powagą, źródłem uczuć szlachetnych. Wpływ kościoła rozciąga swą silną władzę nad całym obszarem życia wieśniaka. Jestże miejsce wdzięczniejsze i bardziej wpływowe dla ludzi pragnących i umiejących działać dla dobra ludzkiego, nad ambonę, konfesyonał, plebanię, a z drugiej strony jestże bardziej odpowiedzialne i świętych obowiązków pełne powołanie, nad to, które spełnia pasterz dusz wiernych? Jakaż straszna odpowiedzialność jednostki zajmującej w społeczeństwie tak ważne stanowisko...

Na bardzo ślizkiej drodze staje człowiek świecki wypowiadając publicznie opinie swe i pragnienia w rzeczach tyczących stosunku parafian do plebana, stosunku wiary do życia; lecz nie będzie to zapewne zbyt śmiałem wyznaniem, iż nie pojmujemy wiary w znaczeniu oderwanem od etycznego jej posłannictwa, które najistotniejszym jej celem być winno. Z tego punktu widzenia dostrzegamy

wielki niedobór w oddziaływaniu plebana na parafię, widzimy niezłą wolę zapewne i nieniesumienność, lecz zaniedbanie czynnego wpływu na umysły i moralność włościan tam, gdzie dźwignie do zbawiennej pracy gotowe są i jedynie możliwe.

Obserwując na różnych punktach kraju stan moralny i umysłowy naszych włościan, spotykamy zjawiska różnic wybitnych dziwnie trudnych do objaśnienia. Nieraz w paromilowym obrębie różnice takie uderzająco rzucają się w oczy, często miedza tylko odgranicza wieś słynną z uczciwości włościan od wsi odznaczającej się zdemoralizowaniem. Przyczyn nierzadko próżno by szukać w tradycyjnym wpływie dawnych panów, którzy postępowaniem swem i charakterem wybili widoczny stępel na usposobieniu ludu; miejscowe warunki, jak blizkość miasta zwykle fatalna dla moralności włościan, ubóstwo, przeludnienie również nie zawsze tłómaczą owe zjawisko różnic. Ale zawsze prawie na pytanie skąd pochodzi niezwykła trzeźwość ludu okazująca się w dostatku i porządku, skąd bierze się tak rzadkie u nas na wsi poszanowanie własności, łagodność obyczajów, roztropność w dzieciach i w ogóle ten chwytający za serce pozór rzeczywistej cywilizacyi, na te wszystkie pytania odbieramy odpowiedź: „To nasz pleban dobrodziej to uczynił.“

Nikt ze znających cokolwiek parafie wiejskie nasze nie uwierzyłby że odpowiedzi takie należą do rzeczy często spotykanych, to też nie myślimy wmawiać w ludzi takiego twierdzenia... Do spełnienia tak pięknych czynów potrzeba w osobach sterujących parafii wyższego pojęcia obowiązku, prawdziwej oświaty, potrzeba być czemś więcej niż jednostką zadawalniającą się oficyonalnem pełnieniem przepisanych obrzędów i form posługi duchownej. Powszechny stan wiejskich parafii mniej więcej znany jest dobrze wszystkim, poznanie głębsze istniejącego tu stanu rzeczy nie wiele zbudować nas zdolne, przyjrzyjmy się lepiej wyjątkom okazującym co pleban zdolny jest zrobić ze swej parafii, przy zamiłowaniu i umiejętnem pełnieniu „służby Bożej.“

Za mojej pamięci nowy pleban objął pewną parafię. Parafia to była nie gorsza od tysiąca innych. Lud ciemny jak wszędzie prawie, w zamęcie pojęć społecznych, przesądny do najwyższego stopnia, przewrotny po trosze. Połowa parafian oddana nałogowemu pijaństwu, w rodzinnych stosunkach ledwie ślady człowieczeństwa dopatrzeć było można, poszanowanie własności cudzej nieznane prawie, cena życia i zdrowia między najbliższemi członkami rodzin z pewnością niższa od ceny najlichszego domowego zwierzęcia, zadawanie t. z. „uczynków“ to jest krzywd na zdrowiu, życiu lub majątku, tajemnemi sposobami upowszechnione w przerażający sposób. Jeśli dodamy do tego lenistwo, opuszczenie się i niezaradność doprowadzającą zamożnych stosunkowo ludzi do życia w nędzy pod naciskiem lichwiarzy, będziemy mieli rozpaczliwy obraz parafii objętej przez szanownego plebana. Jedna tylko była jej strona dodatnia. Lud ciemny i zabobonny... waham się ze zdaniem, był religijny gorliwie.... Bo czyliż nie jest profanowaniem miana religijności, gdy nią nazwać przychodzi li tylko ślepe przywiązanie do form, obrzędów, do zmysłowej szaty wiary katolickiej? Chłopek korzący się pod strachem tajemnic, podobny zupełnie strach objawiał przed gusłami mniemanego czarodzieja, przynosił ofiarę do kościoła w interesie swego dobytku, zupełnie tak samo jak kiedy indziej używał rzeczy świętej do praktyki zabobonnej w tym samym celu lub gorszym, bo wprost zbrodniczym...

Mimo takich pierwotnych rudymentów wiary, i na nich właśnie wspierając się, nowy pleban z nadzieją zabrał się do pracy. Widzieliśmy ją i uwielbiali. Skierował najprzód parafian ku ofiarności na rzecz kościółka, podniósł i uświetnił stronę obrzędową, przeprowadził karność w pełnieniu religijnych zwyczajów w sposób szlachetny i przemawiający obrazowo do grubych umysłów, a jednocześnie rozpoczął z wyłącznem oddaniem się obowiązkowi, swe posłannictwo ku moralnemu zbawieniu dusz powierzonych sobie. I na czemże polegało owo szczytne pełnienie kapłańskiego powołania? Na tem, iż zacny pleban jeden tylko miał cel przed sobą — dobro parafian! że dzień cały jego oddany był korzystaniu z każdej sposobności leżącej na drodze ku temu celowi. Myliłby się ktoby sądził, iż aby lud podnieść potrzeba zniżyć się ku niemu, podzielać jego życie, wejść w poufały stosunek przyjaciela; kapłanowi środek taki udać się prawie nie może bez straty owej powagi uświęcającej, która główną jego siłę stanowi, w obec naszego ludu. Nasz pleban nie bywał wprawdzie na włościańskich weselach i chrzcinach, ale nie zawachał się nigdy między wyborem sposobności skromnej pogadanki z gospodarzami lub ich dziećmi a wizytą w sąsiedzkim dworku gdzie mógł znaleść osobistą rozrywkę; stokroć więcej przejmował się domowemi i gospodarskiemi sprawami chłopka, niż ploteczką tak kuszącą dla osób bez zamiłowania pracy i bez zajęcia wypełniającego życie. W krótkim czasie znał szczegółowo każdego ze swych parafian których przywiązywał do siebie, w których budził cześć głęboką i zaufanie, nie hojnością lub narzucaniem się z pomocą, lecz szczerą bezinteresownością i stanowczym pełnym rzetelnej serdeczności oraz prostoty postępowaniem i słowem.

Radbym zaprowadzić czytelnika na kazanie naszego plebana. Najprzód słysząc wyrazy pełne prostoty, wypowiedziane bez deklamacyjnej pretensyi, bez retorycznych zwrotów sądziłby że to raczej pełna zajęcia, barwy i treści życiowej pogadanka, prowadzona w duchu poważnym, niż kazanie którego przywykliśmy słuchać z obowiązku jako rzeczy dobrze znanej, usankcyonowanej miejscem i osobą mówcy. Nie znać tu rutyny tradycyjnej, nie znać uczoności i mozołu, nie jest to improwizacya na temat osłuchany, ale czuć że każde zdanie płynie z praktyki życiowej i do niej zmierza, poczerpnięte nie z ksiąg lecz z życia, z obrazów schwytanych wczoraj własnemi oczami i sercem. Mowa tu nie zwraca się do oderwanego ogółu wiernych. Tu każdy Wojciech lub Kuba czuje iż słyszy zbawienne rady wprost dla siebie, słucha z przejęciem a nie wśród zwyczajowego osłupienia, przerywanego tradycyjnem westchnieniem w chwilach podniesienia głosu przez mówcę. Z ambony nie spadają pioruny gróźb, lub odezwy wzbudzające płacz (zwyczajowy częstokroć), tu płynie owa dotykalna logika faktów, co tak silnie działa na ociężałe i nierozwinięte umysły. Mówca nie pogardza przypowieścią, wyrażeniem dosadnem, a uroczyste słowa prawd ewangielicznych we wzniosłej swej prostocie, w dziwnej harmonii odbijają przy takiej przemowie, kołaczą do serc najobojętniejszych.

Po paru latach pracy naszego plebana podziwialiśmy już pocieszające zmiany w parafii. Osobę jego otaczał urok prawdziwego ojcowstwa, jego każde słowo poparte każdą chwilą życia ważyło jak fakt spełniony, rada miała siłę rozkazu, opinia była nieledwie wyrokiem. Po kilku latach parafia doszła do rezultatów zadziwiających. Podniesienie stron moralnych odbiło się widocznie na materyalnym bycie włościan. Utrwaliło się towarzystwo wstrzemięźliwości, powstał dom przytułku dla biednych, podniosła się oświata i jakaś szlachetność obyczajów. Wśród rodzin, ludzkość, w chatach ład i porządek, w wychowaniu dzieci staranność, zamożność nawet — wszystko to były bliższe lub dalsze owoce pracy plebana. Napomknąć tu należy o upowszechnieniu zamiłowania do ogrodnictwa i pszczolarstwa, zaprowadzanem tylko za przykładem plebana.

Lecz dziwniejsze nad wszystko było wykorzenienie zupełne zwyczaju kradzieży, który wydaje się być częstokroć chroniczną chorobą naszego ludu, grasującą zwykle w stosunku odwrotnym do zamożności. Poszanowanie własności zdaje się że tylko surowością i ścisłem wykonaniem prawa wkorzenione być może, tymczasem pleban zdołał moralną drogą swych wpływów o tyle zaszczepić tę cnotę, iż w przeszłym roku następujące zdarzenie mogło mieć miejsce:

Po nauce niedzielnej szanowny kapłan odezwał się w te słowa do swych parafian:

— Doszła mię pogłoska, której nie chcę dać wiary, choć z wiarogodnych ust ją słyszałem. Słyszałem oto jakoby syn pewnego gospodarza zakradł się do cudzego ogrodu po gruszki. Wstyd to wielki dla parafii i obraza Boska, więc choć już podobno chłopiec został stosownie ukarany i zapewne więcej nie zapomni się do tego stopnia, proszę aby ojciec jego przypomniał sobie, że za podobny wypadek należy się przepisana ofiara na ubogich.

Ofiara po nabożeństwie ze wstydem wniesiona została gdzie należało, a fakt wymieniony przez księdza stał się powodem powszechnego oburzenia.

Teraz pora zapytać się do czego prowadzi to moje opowiadanie? Do upewnienia że są wyjątki i że pole działania jest obszerne, zdolne nieobliczonej korzyści owoce przynosić; że istnieje droga działania łatwa, wdzięczna i — obowiązująca, która ze smutkiem wyznać trzeba pozostanie odłogiem z przyczyn... nie leżących w mocy tych, którzy u steru parafij nie stoją. Z boleścią przychodzi nam pomyśleć że długie lata powolnej oświaty i

rozwoju stosunków społecznych podniosą moralny i umysłowy byt włościan innemi drogami, albo... przyszłość jest ciemna...

A. Mirski.

W WYPRÓCHNIAŁYM DĘBIE.

OPOWIADANIE

przez

Witosława Halka [1]).

przełożył z czeskiego

ALEKSANDER PETRÓW.

I.

Kiedy Jaś Swoboda skończył lat dwanaście, odebrał go ojciec ze szkoły. „Musisz już nam teraz pomagać, rzekł; będziesz pastuchem, wypędzisz owce pod las na wygon, w południe doniesiemy ci obiad, a na wieczerzę sam przyjdziesz.“

Jaś z radości wykręcił się na prawej pięcie, zęby zabłysły mu z dziąseł, a gdy ojciec dodał: weźmiesz ze sobą skrzypce na pastwisko, Jaś wtedy jak opętany skakał po izbie, aż doskakał do skrzypiec, zdjął je z kołka, naciągnął strun kilka i grał i pląsał zarazem.

Jaś nauczył się w szkole na skrzypcach, i w niedzielę grywał na chórze prym; a jak nauczyciel kazał mu grać solo na „gloria,“ ludzie wówczas w kościele, zamiast na ołtarz, gapili się na chór. Ale z dołu nikt go nie widział, był jeszcze tak mały, że ledwo sięgał do poręczy.

Nazajutrz rano wygnał Jaś owce pod góry i wziął ze sobą skrzypce. Pod górami szumiała rzeka, a na górach szeleścił dębowy las. Obszedł Jaś skraj lasu, i na tym skraju zobaczył jedno stare drzewo, które było wypróchniałe, i wewnątrz mogłoby czterech ludzi wygodnie wnim siedzieć. Drzewo to było wysunięte naprzód, miało wchód i jakby drzwi i próg; na progu przy wchodzie usiadł Jaś, aby patrzeć na owce, i rzekł do siebie: „Tu mi się podoba, przy tem drzewie zostanę.“

Gdy tak chwilę siedział i widział, jak rzeka w dole pomyka, i jak owce po górach łażą, i jak ten las za nim szumi tak niewzruszenie, wzruszyło go jak tę rzekę i szumiało w nim jak w lesie. A gdy ptaki zaczęły przeróżnie świergotać, to mu się zdawało, że należy im odpowiadać. Wziął skrzypce dla odpowiadania. Odegrał im i sobie całą mszę, jak grał ostatnią razą w kościele; myślał, że z niemi najprędzej się zapozną, pokazując, co umie.

Grał, a gdy przyszedł do „gloria,“ które wykonywał w kościele solo, sądził, że musi popisać się należycie. Zagrał, aż mu twarz zajaśniała; jeśli ptaki choć trochę znały się na muzyce, niezawodnie poprzyjaźniły się z nim, a nawet pewnie odpowiadały mu. Gdy skończył, było słychać odpowiedź; lecz nie odpowiadały to ptaki, tylko mała Kasia, która skoro Jaś dograł, zaczęła śpiewać swoje solo z ostatniej mszy. Niespostrzeżona podkradła się za drzewo, tam zasiadła i teraz zdradziła się swym śpiewem.

Jaś bywał na chórze skrzypkiem, a Kasia śpiewaczką; miała głosek jak aniołek a gdy śpiewała, to jakby perły nawlekał na jedwabną nitkę. Jaś z Kasią na chórze stali obok siebie, a gdy jedno drugiemu wtórowało, było w kościele jak w raju. Nie byli to brat i siostra, a jednak mówiono „te dzieci,“ dla tego że zawsze razem się uczyli, razem z domu do szkoły, i ze szkoły do domu chodzili, że razem na chórze stali. O „tych dzieciach“ mówili ludzie idąc do kościoła, „te dzieci“ były niby czarodzieje, dopóki je słyszeli w kościele, i o „tych dzieciach“ mówili wracając z nabożeństwa.

Kasia była sierotą, miała obecnie dziewięć lat, i nie pamiętała wcale rodziców swoich; do domu ojca Jasiowego przylgnęła jak gniazdo jaskółcze, które nikt nie zrzuca. Ojciec Jasia nie wiedział na pewne, po co ją trzyma u siebie. Snadź ani dla tego, że była sierotą, ani też dla tego, że miała „piękny głos.“ Była jak owo gniazdo jaskółcze pod dachem; nikt go nie zrzucił.

We wsi mówiono „u chałupnika“ zamiast u Swobody, dla tego że jeszcze jeden był we wsi gospodarz Swoboda, brat chałupnika; nazywali też Swobodę „wdowcem,“ ponieważ Jaś już matki nie miał.

Podczas gdy Kasia śpiewała, Jaś położył skrzypce, odwrócił się w stronę, gdzie siedziała śpiewaczka, pokazywał jej takt, kiwał głową i był spokojny. Ale jak dokończyła, powstał na nią: — Kasiu, dla czego nie jesteś w szkole?

— Bo ty też tam nie jesteś, rzekła Kasia.

— Co ja? ja mam już dwanaście lat, już szkoła mi nie potrzebna; ty dopiero masz lat dziewięć!

— I dla mnie szkoła już nie potrzebna, odpowiedziała Kasia. I nie pójdę więcej.

— Nie waż się! Niechby tylko ojciec widział, wygnał by cię, pogroził Jaś.

— Pójdę z tobą pasać owce, i ty mnie nie odpędzisz, broniła się Kasia.

Na to Jaś podniósł się, i wziąwszy ją za rękę, zawołał:—Idź mi zaraz, ja cię stąd wyganiam. Dalej do szkoły.

A gdy nie chciała stąd ani się ruszyć, wziął ją Jaś przez pół i odepchnął co mu sił starczyło. Kasia zachwiała się, opuściła na ziemię, i wybuchnąwszy płaczem, narzekała: — Ach, wszakże ja jestem tylko sierotą.

Te słowa ubodły Jasia. Zaraz zapomniał, że ją wysyłał do szkoły i tylko wiedział, że Kasia wyrzeka, na niego wyrzeka. Stał jakby do ziemi przykuty i nie wiedział, w którą stronę się udać, czy do Kasi czy do drzewa. Poszedł jednak do drzewa i usiadł pod niem, chciał grać, ale mu nie szło. Ani msza, ani żadna inna pieśń nie szykowała się. Obejrzał się na Kasię i byłby z nią płakał, byłby do niej poszedł, ułagodziłby ją, przeprosił, od szkoły uwolnił, ale nie wiedział, jakby to zrobić.

Jeszcze mu gorzej było, gdy Kasia przestała płakać, gdy podniosła głowę i niememi słowami potwierdziła to, co wprzód mówiła: gdy mając ręce załamane i ku ziemi opusz-

---

[1]) *Witosław Halek* ur. 5 kwietnia 1835 r. w *Dotinku*, w Czechach, z rodziców, wcale niezamożnych karczmarzów. Do siódmego roku był „niewinnym pasterzem świń.“ Lecz kiedy staremu Halkowi zaczęło się lepiej wieść, posłał go do szkoły. Długo jednakże do niej nie uczęszczał, ojciec bowiem wysłał go do niemców dla nauczenia się ich mowy, a to w celu przysposobienia syna do tego zawodu, jakiemu się sam oddawał—do karczmarstwa, w którym koniecznie potrzeba w Czechach znać niemczyznę. Powróciwszy od niemców, zaproszony ksiądz proboszcz *Hanzik* wyegzaminował młodego chłopca, zaledwie dziesięć lat liczącego, a poznawszy że posiada niepospolite zdolności, namówił rodziców, aby Witosława posłano do szkół do Pragi, zachęcając ich tym, że może zostać księdzem. Rodzicom rada spodobała się: prosty bowiem lud rad widzi w rodzie swoim dobrodzieja, i 1847 r. znajdował się już Witosław w *staromiejskiem* gimnazyum. Język czeski wtedy zupełnie był wyrugowany ze szkoły, i nauczyciele używali go jedynie w celu szydzenia. Rok 1848 zapowiedział zmianę na lepsze. W staromiejskiem gimnazyum otrzymał posadę gorący patryota *Swoboda*, który umiał w uczniach uśpione uczucia narodowe obudzić. Później w temże gimnazyum *Szumawski*, *Klicpera*, *Sztulc* i inni, wszyscy znani w literaturze czeskiej, wykładali wszystko w duchu narodowym. Do 14 roku życia swego Halek prócz książek naukowych nic więcej nie czytał. Będąc już w czwartej klasie napisał ćwiczenie, które profesor, jako zupełnie doskonałe, odczytywał we wszystkich klasach. Ten pozornie drobny wypadek stanowczo wpłynął na przyszły jego kierunek. Halek zebrawszy, bez zezwolenia i wiadomości władzy szkolnej, w koło siebie co zdolniejszych kolegów, zaczął redagować pisaną gazetę „*Przyprawa.*“ która cały rok wychodziła. W roku następnym zmienił tytuł „Przyprawa,“ na „*Waryto a Lyra*,“ w trzecim roku nazwał tylko „*Waryto.*“ Mieściła ona w sobie poezye, powiastki, drobne wiadomości, a także rzeczy tyczące się historyi Słowian, ich mitologii i literatury. Czyniono to tajemnie. Czujna jednak policya *Bacha* odkryła pismo, aresztowano Halka i innych jego współkolegów. Z zabawki dzieci zrobiono przestępstwo polityczne, domyślano się jakiegoś spisku rewolucyjnego. Energicznie prowadzone śledztwo nic nie wykazało. Sprawa przyszła aż przed ministra *Thuna*, który kazał zaniechać dalszego dochodzenia. Kodeks tylko karny zwiększył się o jeden nowy paragraf, zabraniający wydawnictwa podobnych pism. W gimnazyum jeszcze przeczytał celniejszych poetów słowiańskich i zachodnich. Teatr był jego żywiołem. W 1855 r. otrzymawszy patent dojrzałości, zapisał się na wydział filologiczny, chcąc u źródła poczerpnąć mądrości, tak nieodzownej dla działalności literackiej. Rodzice jego widząc zawiedzionemi swoje nadzieje, odmówili mu wszelkiej pomocy. Cierpiał niedostatek. Na utrzymanie zarabiał dawaniem prywatnych lekcyj, czym miał czas tak zajęty, że zaniedbywał prawie własne kształcenie się. Omylił się w swojem oczekiwaniu: filologia nie dała mu tego, czego pragnął. Z całym jednakże zapałem młodzieńczej duszy studyował historyą, filozofią, estetykę, i z przyjemnością słuchał wykładów *Schleichera* i *Hattali.* W gimnazyum będąc, pierwsze próby swojego talentu ogłaszał w „*Lumir.*“ Talent jego jednakże poraz pierwszy potężnie zajaśniał z wydaniem lirycko epickiej pieśni „*Alfred*,“ która rozeszła się w jednym roku, a w 1861 r. wyszła poraz drugi. Nie starał się o rządową służbę, środków utrzymania dostarczały mu lekcye w prywatnych domach. W jednym z takich domów miał czworo dzieci do nauki, między którymi była piękna panienka *Dorota*. Jej to poświęcił „*Wieczorne pieśni*,“ które przełożył na polski język *Bełza*. Wyszły one w 1859 r. Cały świat inteligencyi czeskiej witał w nich nową gwiazdę na czeskim parnasie. W 1871 r. nastąpiło wydanie trzecie.

Równocześnie zaczął z *Nerudą*, *Friczem*, *Mayerem*, *Barakiem*, i innymi wydawać almanach „*Maj*,“ którego redaktorem był przez lat cztery. W 1859 r. wydał pieśń „*Mejrima a Husejn*“ na tle życia południowych Słowian osnutą. 1860 r. po raz pierwszy wystąpił z tragedyą „*Carewicz Aleksej*;“ przedstawianą dotąd z powodzeniem. Od 1861 r. pisywał do „Narodnych Listów“ feuilletony, w których zręcznie poruszał różne kwestye; najważniejszą z nich była kwestya teatru narodowego. W tymże roku napisał dwa nowe dramaty „*Zawisza z Falkenstyna*“ i „*Kral Rudolf.*“ Ostatni wzbroniono grywać. Prędko po sobie następowały dramaty „*Kral Wukaszyn*,“ „*Katilina*,“ „*Amon a Tamar.*“ Wszystkie mają wielką wartość poetyczną. 1862 r. na wiosnę z *Juliuszem Gregrem* zwiedzili Tatry. Owocem tej podróży był „*Goar*,“ przedmiot wzięty z życia tatrzańskiego. W 1865 r. kosztem towarzystwa *Swatohor* odbył wędrówkę po *Krainie*, *Chorwacyi*, *Przymorzu*, *Dalmacyi* i *Czarnogórzu*, wyspach greckich, bawił niejaki czas w *Konstantynopolu*, skąd parę razy czynił wycieczki do *Azyi Mniejszej*; przez *Bulgaryą* zaś i *Serbią* powrócił do domu. W 1867 r. napisał „*Czerny prapor.*“ W utworze tym postać *Helenki* można policzyć do najpiękniejszych postaci kobiecych. W dwa lata później wyszły: „*Diedicowe bile Hory*,“ w kilka miesięcy wyczerpane, w 1870 powtórzono odbicie. 1870 r. wraz ze swą małżonką zwiedził *Krainę*, *Przymorze*, północne *Włochy*, *Tyrol* i *Bawaryą*. W 1871 r. ukazało się „*Dziewcze z Tater.*“ Największą bez wątpienia ma wartość ostatnie jego dzieło „*W przyrodzie*,“ którego wyszły trzy części. Napisał także Halek prozą „*Powidky*,“ „*Trzy powidky*,“ „*Inne trzy powidky*“ i romans „*Komediant.*“ Z jego inicyatywy zawiązała się *Umielecka Beseda*, za spółudziałem dr. *Gregra*, dr. *Piwody* i dr. *Prohazki*.

W 1875 r. zgasł Witosław Halek, z wielkim żalem całego narodu czeskiego, w chwili największej swej działalności i twórczości. (*Przyp. tłumacza*).

czone, gdy mając oczy załzawione i utkwione w jeden punkt, jak dzieło sztukmistrza bez napisu, a jednak mówiące:

„Ach, wszak ja tylko sierota!“

Gdy tak siedziała w dziecinnej boleści pogrążona, przybliżył się ku niej po cichu Jaś, usiadł obok niej i po chwili rzekł:—Kasiu, co to jest być sierotą.

Rzekł to ze współczuciem, na jakie mógł się zdobyć na swe lata; rzekł to, jakby chciał powiedzieć: wytłómacz mi, co znaczy: być sierotą, a ja wezmę to na siebie.

— Co to jest? pytająco odpowiedziała Kasia. Gdy ja ciebie tylko mam, a ty mnie odpędzasz, czyż nie będę sierotą? I oczy jeszcze nie osuszone, pełne smutku podniosła na niego.

— Ja cię nie wyganiam, ale chcę, abyś szła do szkoły, a do szkoły musisz chodzić, dopóki dwunastu lat nie skończysz, jak ja.

— Ja nie pójdę do szkoły, broniła się Kasia, mnie się podoba bawić pod górami, ja będę tutaj.

— A gdzie się będziesz uczyła śpiewać? pytał się Jaś i to miało być jak ostatni dowód.

— U ciebie, rzekła Kasia, i tym Jaś zdawał się być zupełnie przekonany.

Ale jeszcze rzekł: — Mogłabyś chodzić do szkoły a po szkole przychodzić tutaj. Dopieroby nam szło, gdybyś ty się i w szkole i u mnie uczyła!

Na te słowa Kasia zamyśliła się, popatrzyła na Jasia, wzięła go za rękę i rzekła:—Wiesz co, ja tak zrobię; będę chodziła do szkoły a po szkole codzień przyjdę do ciebie.

Tak się porozumieli mali dyplomaci i, gdy się im obu to podobało, pytał Jaś: Czy jeszcze jesteś sierotą, Kasiu?

— Przecie wiesz, że jestem sierotą, nie mam ani ojca ani matki, rzekła, a Jasiowi zrobiło się tak smutno, że postanowił coś takiego zrobić dla Kasi, aby mniej była sierotą.

I rzekł: — Ja nie mam również matki. To tak wypowiedział, jakby się tem chlubił, jakby czem obdarzał Kasię, i tym darem jako by była matka, której i on nie miał. Jaś myślał, że dla Kasi to uczynił, co zamierzył: zrzekłszy się swej matki, sądził że będzie bliżej Kasi. Chlubił się swem sieroctwem, aby Kasi było lżej być sierotą, zrzekał się swej matki, jak gdyby mógł jeszcze jej się zrzekać.

Dla Kasi to zrzeczenie się miało pewne znaczenie. Nie widziała nigdy Jasiowej matki, nie znała jej, i zdawało się Kasi, że Swoboda był zawsze bezżenny, i że Jaś nigdy nie miał matki. Skoro jednak dzisiaj Jaś oznajmił o stracie swej rodzicielki, poznała Kasia, że to, czego nie ma, naprawdę stracił.

— Tobie matusię pochowali? pytała się Kasia, jak gdyby dopiero nieszczęście ich spotkało.

— Nie pochowali, rzekł Jaś, ponieważ byłem wtedy bardzo mały i była zima; ale ona jednak jest na cmentarzu.

Jasiowi utkwiło w pamięci, że wtedy, kiedy się to stało, mówili, że jej nie pochowają. Pamięć tego nie opuściła go dotąd; i, jak to się często zdarza, że pewne wyrazy, któreśmy usłyszeli za młodu, zawierające fałszywe pojęcie, w późniejszych nawet latach, pomimo żeśmy poznali prawdziwe znaczenie, bierzemy w dawniejszem, fałszywem. Mniemał Jaś, że matka jego nie jest pochowana i jakoby nie była zupełnie nieboszczką, i dla tego tylko mówił, że nie ma matki.

— Poczekaj, kiedy nie jest pochowana, to my ją wtedy pochowamy, rzekła Kasia, abyś do niej miał niedaleko. Wykop grób a ja ją tutaj przyniosę.

Wiele z tego nie zrozumiał Jaś, co Kasia chciała i co zamyślała zrobić. Lecz dzieci prędko się porozumiewają; skorupkę mają za miskę, kawałek rozrobionej gliny za bułkę, kamiuszczek za dom, wiórek za przekupkę, blat od stołu za szkołę, pręcik odłamany z miotły za nauczyciela, szczątek pudełka za szafę do sukien, kawałek papieru za książkę. Fantazya dzieci jest wszechmocna; rzekną dzieci: „nasza izba z tatką i mateczką jest lepszą niż cały świat,“ i jest to prawdą od tej chwili kiedy dzieci to wypowiedziały.

Gdy Kasia wstała, aby przynieść Jasiową matkę, podniósł się i Jaś — i tuż obok wypróchniałego drzewa zaczął kopać dla swej matki grób. Grzebał ziemię patykiem. A gdy grób był gotów, przyniosła Kasia jego matkę, pełen fartuch był jej, nazbierała ją po całym lesie i podgórzu.

Zaczęli ją teraz spuszczać do grobu. Najpierw Kasia wyłożyła grób mchem, aby matka miała miękko pod sobą. Wzięła zieloną gałązkę i rzekła: „Oto jej serce,“ i tę gałązkę położyła w środku grobu. Potem wzięła dwa pręciki wierzbowe i mówiła: „to są jej ręce,“ i położyła je przy sercu. Dwie inne witki były nogami i na ostatek wyjęła z fartuszka macierzankę i powiedziała: „To jest jej głowa,“ i położyła ją nad sercem. Więcej według ich pojęcia nie potrzeba, aby był człowiek. Tak więc był człowiek gotów i matka leżała w grobie.

Tutaj dopiero rozpoczął się właściwy pogrzeb. Kasia zaczęła płakać i Jaś z nią płakał, i rzeczywiście płakali. Później zagrał Jaś: „Miserere,“ jako na cmentarzu, i Kasia zaśpiewała. Kasia śpiewała same pogrzebowe pieśni a Jaś jej przygrywał na skrzypcach. Śpiewali i grali wszystko co umieli; śpiewali pogrzebowe pieśni nad grobem dzieci, i nad grobem dorosłych i starców. I śpiewali i grali z takiem życiem, z takiem przejęciem się, aż oboje z sił opadli i musieli skończyć egzekwie. Bardziej wzruszającego pogrzebu nad ten, jaki dzieci sprawiały, nie mogło być w rzeczywistości. Jeżeli dusza Jasiowej matki unosiła się nad niemi, radowała się i płakała z niemi. Grób zasypywali palcami, i matka była pogrzebaną. Jeszcze zaśpiewali: „Odpoczywaj w pokoju“ a potem „Pożegnajmy się z tem ciałem, pochowajmy je w pokoju,“ i odeszli z muzyką i śpiewem od grobu. Ale jeszcze się tam wrócili, ale już nie do grobu, lecz do wypróchniałego dębu, gdyż Jaś zawyrokował, że będzie się odprawiała żałobna śpiewana msza. Jaś grał i Kasia śpiewała. Wszystkie sola przegrali i prześpiewali; wypróchniały dąb służył za chór i za kościół.

Gdy wieczór nastał, popędzili stado do domu zapłakani, i jeszcze na drugi dzień nie chciało się Kasi iść do szkoły, z powodu wczorajszego pogrzebu.

II.

Od tego dnia dzieci były sobie równe: nikt nie był większym sierotą nad drugiego. Od tego dnia podgórze było dla nich jakoby poświęcone, było dla nich domem. W domu mieli ojca, i Kasia miała w starym Swobodzie ojca; na podgórzu mieli matkę, i Kasia tam miała matkę. Zaraz po szkole przychodziła do Jasia, a gdy nie było szkoły, spędzała z nim cały dzień.

Taki dzień był dla nich obojga świętem. Wtedy śpiewała, aż się po lesie rozlegało, a Jaś grał, aż ludzie przechodzący przystawali, i pasterki z całej wioski najchętniej pasałyby na podgórzu, gdyby do tego mieli jakie prawo. Gdy rosiło, włazili do drzewa, które brzmiało od strun i śpiewu, jakby na stare lata odnowiło sobie usta i serce; jak gdyby to ono grało i śpiewało. Deszczowe krople padały, szeleszcząc liśćmi starego drzewa, a z jego wnętrza, z jego umarłej części wydobywał się śpiew, jak gdyby drzewo miało młode serce i młode usta. Podczas gdy słońce świeciło, siadali w cieniu drzewa. Dokoła trawka omdlewała, a z wypróchniałego dębu wiał chłód i zdało się, jakoby rosa padała.

Jaś tak się wprawił w grze, że ptaki wabił, a skoro zechciał, dawał taki koncert, że sama Kasia siadała przy nim oczarowana, jakby w zachwyceniu. Kasia uczyła się śpiewu w szkole i uczyła się u Jasia; w szkole tym pilniej, aby Jasiowi sprawić radość, a u Jasia jeszcze gorliwiej, aby sprawić radość jemu i sobie. Na podgórzu młodzi artyści roskoszowali się jak dwaj ptaszkowie swemi dźwiękami, ożywiali je; od dawien dawna nic tam podobnego nie słyszano. Byli oni żywem sercem tego podgórza, byli jego językiem, jego mową, i mogli być roskoszą temu, ktoby życzył ten gwar ich posłuchać. Byli oni nad wiek swój wyćwiczeni; gardełko dziewczęcia tak się zgadzało ze strunami Jasia, jak te dzieci ze sobą, tak dopełniało się jedno drugiem, że moglibyśmy dźwięki jej gardła i dźwięki skrzypiec nazwać towarzyszami, gdyby istniało w rzeszy dźwięków jakie uczuciowe ciążenie, jak między ludźmi.

I rośli. Jaś już skończył piętnaście lat, a Kasia dwanaście, teraz Kasia opuściła także szkołę. I pyszniła się, jak kiedyś Jaś, że już ma dwanaście lat, ale było jej przyjemniej z tego powodu, iż teraz mogła całe dnie przepędzać z Jasiem. Na ten raz Kasia nie życzyła sobie nic więcej; wszystko miała: dwanaście lat, podgórze, a na podgórzu śpiew a do śpiewu Jasia i skrzypce. Większego pojęcia o szczęściu nie miała. Serduszko jej nie pragnęło innego szczęścia, obecne dawało jej wszystko. Była niem przepełniona. Wyobrażała sobie, że świat ma nazbyt blasku i jasności, niebiosa nazbyt błękitu i powabu, las nazbyt śpiewu i woni. Nigdy już nie martwiła się, że jest sierotą. Nie czuła żadnej próżni, żadnego niedostatku, i jeśliby zdołała wyjawić, co czuła, niezawodnie by rzekła, że jest zadowoloną ze świata.

Wkrótce jednak osamotniał Jaś na podgórzu. Ojciec Swobody narzekać zaczął na dolegliwości, zaniemógł i Kasia musiała zostać w domu. Od tej chwili Jaś nie brał skrzypiec

ze sobą, muzyka i śpiew umilkły; jakaś ciężka, ponura chmura zawisła nad chatą Swobody, i nasze dzieci naraz przestały być dziećmi. Świat przybrał inną barwę, zbrakło mu blasku; i piersi ich przygniótł jakiś ciężar. Jaś, patrząc z podgórza na domek swój rodzinny, wyobrażał sobie, że kątek ten wyróżnia się od reszty budynków szczególniejszym kształtem; Kasia zaś, siedząc w izbie w zupełnej spokojności, zakłóconej tylko niekiedy biciem starego zegara lub jękami chorego Swobody, przedstawiała sobie, że niewidziana ręka tłumiła całą wesołość i wszystkie pieśni. Kto wszedł do izby, stawał się smutnym, poważnym; kto wychodził z izby, był jakoby bez nadziei. Smutek i zwątpienie widocznie opanowały siedzącą ustawicznie w domu Kasię.

Czas upływał.

Kasia rzuciła się do łóżka łkając, a na dworze zabrzmiał dzwonek. Gdy dźwięki tego dzwonka doleciały na podgórze, Jaś zerwał się jak raniony, z płaczem i narzekaniem spędził owce i z płaczem i narzekaniem przygnał je do domu. Nie pytał się, komu dzwonek dzwoni, odrazu to poznał, a gdyby był nie wiedział, dostatecznem było zajrzeć do izby, aby się przekonać, co zaszło. Smutek panował do koła.

Kasia klęczała przy łóżku, na którym dopiero co skonał Swoboda. Jaś ukląkł przy Kasi i pojedyńczemi zgłoskami, jakiemi mówi największa boleść, wystękał: „Już też jestem sierotą!“ I ojca ucałował. Nakoniec Kasia nie była w niczem gorsza od niego, ba! nawet jemu się teraz zdawało, że nie ma nieszczęśliwszego od niego na ziemi.

Oboje byli jakoby w widzeniu; prawdy nie pojmowali i mniemali, że prawda ta nie jest dość prawdziwą, chociaż nią była bez wątpienia. Prawda ta stała się jeszcze bardziej rzeczywistą, gdy do domu przynieśli trumnę. Poszedł Jaś naprzeciwko trumny, sądząc, że sam się ma do niej położyć, objął ją i wołał: „To teraz będzie ojcowe mieszkanie!“

Z temi słowami boleść jego umilkła, snadź ogłuchła i oniemiała: Jaś nie znajdował więcej słów. Już nie płakał i nie narzekał, gdy ojca na cmentarz wynosili „w tem nowem mieszkaniu,“ ażeby go obok matki pochować, która już tam dawno spoczywała. Gdy ojca wyprowadzali, wziął Jaś skrzypce ze sobą, aby mu oddać ostatnią przysługę. Po skończeniu wszystkich pogrzebowych ceremonij i płaczów, począł Jaś na świeżej mogile ojca rzewnie płakać; płacz jego rozlewał się w muzyce tak żałosnej, iż wszyscy ludzie znowu się rozpłakali. Grał: „Osierociało dziecię.“ Była to mowa, którą każdy więcej rozumiał aniżeli wyrazy, była to mowa łez, które nie miały nic wspólnego z wyrazami. Gdzie słowa nie wystarczały, tam dźwięki przemówiły. Ludzie nigdy nie słyszeli takiej mowy, choć rozumieli jej wyrazy; Jaś dotąd nigdy jeszcze tak nie mówił. Wszyscy okamienieli, a Kasia była jakby w posąg przemieniona. Były to dźwięki, które nie wyjdą z pamięci; były przeniknięte boleścią, i Kasia zalała się łzami. Były to sierot dźwięki, a gdzież na świecie znajdą się dźwięki bardziej przejmujące?

Tą razą Jaś długo nie rozłączał się ze skrzypcami swemi, przez nie miał długą pogrzebową mowę. Teraz dopiero pierwszy raz zobaczył, jak się chowają ludzie do grobu, ponieważ ten, którego tam kładziono, to był jego ojciec.

Gdy się wszystko skończyło, miała chałupa Swobody innego pana, był nim nieboszczyka brat, który stał się opiekunem Jasia. Był już w chałupie ze swą żoną, gdy Jaś z Kasią wrócili z pogrzebu, i wkrótce począł rozkazywać, co ma się robić i jak. Jaś i Kasia nie rozumieli, co rozkaz jego znaczy. Myślami swemi bawili jeszcze na grobie ojca, a skoro do domu przyszli, słyszeli mnóstwo słów. To tylko pojęli, że odtąd będzie wszystko inaczej.

To, co dotąd było, zaczęło się psuć; z ojcem umarła ich rodzina. Słowa, które tu słyszeli, nie były słowami miłości, i czyż rodzina dla swych członków może być srogą? Wysłuchawszy, spłoszyli się i chcieli uciekać na podgórze.



Fig. 19. Widok ziemi w okresie sololajnym. (str. 187).

— Ty Jasiu, rzekł nowy ich opiekun, porzucisz teraz piękne skrzypce. Taki już chłopiec dorastający a tylko się słania bezczynnie po podgórzu — to nie uchodzi! Ojciec dla ciebie był nazbyt dobry, i jak cię zobaczył ze skrzypcami, myślał, że Bóg wie co widzi. Dalekobyście byli zaszli z takiem gospodarstwem? Do żniw będziesz jeszcze pasał owce, na żniwa wyjdziemy razem w pole, a po żniwach dostaniesz pług do rąk.

— A ty, zwróciła się żona opiekuna do Kasi z uwagami, — nie waż się więcej z domu wychodzić za Jasiem na podgórze! Taka dziewczyna, która by mogła zostać panną młodszą, lata tylko i krzyczy po lesie! Musisz słuchać, bo ja z tobą nie myślę w domu hałasować. Pamiętaj sobie, żeś do tego domu tylko przygarnięta, i że możemy się obyć bez ciebie. Od twego krzyczenia chałupa nie zakwitnie, i my cię nie chcemy trzymać po to w domu, aby cię gwoli twego śpiewu w bawełnę obwijać i pieścić. Boże uchowaj, żebyś się miała wynosić nad inne wiejskie dziewczęta!

Rzeczywiście, wiele z tych słów było prawdziwych, ale były nie w porę. W tej chwili były one srogie dla serca i bez tego już żalem ściśnionego. Jużem wspomniał, że Jaś i Kasia wszystkiego nie rozumieli, co słyszeli; tyle tylko było dla nich zrozumiałem, że każde słowo zadaje im ranę i że każda rana boli.

Tego dnia na wieczór, jakby przypadkiem, zeszli się Jaś i Kasia pod wypróchniałym dębem na podgórzu; Kasia już tam była, a Jaś później nadszedł.

— Przyszłam się pożegnać, rzekła z płaczem Kasia i rzuciła się na mogiłę, którą przed trzema laty usypali dla matki.

— A ja przychodzę się rozstać z podgórzem i ze skrzypcami, narzekał Jaś.

— A ja z tobą, dodała Kasia. Ach, Boże, nie wolno mi więcej do ciebie przychodzić, nie wolno mi z tobą śpiewać; wszystko mi wzięli. Och, teraz jestem prawdziwą sierotą. I oboje zapłakali.

— Przyjdź, kiedy ci się spodoba, Kasiu, nagle zawyrokował Jaś. Zobaczymy. Tobie zabroniono śpiewać, mnie zabroniono grać! Jeszcze dziś w nocy wyniosę skrzypce i powieszę w tem drzewie. I grać będę, kiedy mi się

zachce; ty przychodź, kiedy chcesz i spędź to na mnie.

— Nie odważę się, tłómaczyła się Kasia, choć nieco pocieszyła się stanowczością Jasiową. Ja w chałupie już jestem niczem; nie mam nikogo więcej — dlaczego mnie także nie schowali do grobu?

Na wspomnienie o grobie Jaś bardziej jeszcze zmiękł, i za chwilkę inaczej postanowił. — Więc będziemy się schodzić, a jeśli nas będą ścigali, uciekniemy do lasu. Zresztą zobaczymy!

Z tem wrócili do domu jakby z drugiego pogrzebu. Jeszcze tego wieczoru Jaś zdjął skrzypce, wyrwał gwóźdź ze ściany i z obu udał się na podgórze; gwóźdź wbił w spruchniały dąb, a skrzypce powiesił na nim. Lecz wnet zdjął i zaczął grać same narzekania, same płacze wywodzić. Może Swobodowie to słyszeli, a jakby nie mieli słyszeć, kiedy wieś leżała tuż przy podgórzu? ale nic mu nie mówili, gdy wrócił do domu. Wszak gorzej było Kasi; ta już nie miała żadnego podgórza, dokądby mogła wybiegać, ta już nie miała czasu, w którymby się mogła cieszyć, ta już tylko miała twarde łoże, aby na niem noc przepłakać.

Miejsce, które do niedawna było jeszcze dla nich ciepłem gniazdem, zionęło teraz na nich mrozem. Jaś już w domu nie widział łagodnego oka, nie usłyszał łaskawego słowa. Jeśli Kasia dotąd była do domu przylepiona jak jaskółcze do gzymsu gniazdo, którego nikt nie psuł, to już gzyms zaczął rysować się; już znaleźli się ludzie, którzy gniazdo zrzucili.

Pewnego dnia, jeszcze przed żniwami, Jaś, siedząc na podgórzu, liczył jak długo podgórze i wypróchniały dąb istnieć będą na świecie. Zboża dobrze już zarumieniły się, do żniw było nie daleko.

Kasia w domu była przy robocie, kiedy ciotka Jasiowa zbliżyła się do niej, wyrwała robotę z rąk, rzuciła ją na ziemię i wykrzyknęła: — Cóż to, nie masz rąk, niezdaro?

Kasia nadzwyczaj przelękła się a gospodyni ciągnęła dalej: — Mam ci pewnie jeszcze podnieść z ziemi?

Na to Kasia odrzekła: — Pani matko, ja tego inaczej nie zrobię, jeśli zaś nie chcecie mnie nauczyć, jak się to robi, to nie będę mogła u was pracować.

— Jeśli ci się tak żąda wędrować, czym prędzej tym lepiej, chociażby i dzisiaj. Jeszcze mnie straszysz? Natychmiast zwiąż swoje łachy i wynoś się, żeby cię moje oczy nie widziały.

Kasia poznawszy, że za ostro odpowiedziała, udała się w pokorę, przepraszając za swoję niegrzeczność. — Wynoś mi się zaraz! krzyczała, i Kasia więcej nie odważyła się błagać o przebaczenie.

Zebrała swe ubranie, włożyła je do węzełka i z tem powędrowała do Jasia na podgórze.

— Już idę, już koniec, mówiła gdy tam przyszła, — już nie wolno mi wracać do chałupy. Prawiła z uśmiechem, ponieważ żałość jej przemieniła się w uśmiech, który był wynikiem jakiegoś postanowienia. Mówiła co się stało.

— Dokąd? zawołał Jaś, zapominając się, ponieważ nie przypuszczał nigdy, aby coś podobnego miało zajść.

— Nie wiem, rzekła Kasia; tylko wiem, że z tobą naprawdę muszę się rozłączyć. I znowu boleśnie uśmiechnęła się, tak że Jaś był w zwątpieniu, ażali to było wszystko prawdą lub żartem.

Ale wszystko to było prawdą tak rzeczywistą, że Jaś na czas długi zapomniał języka. I gdy odzyskał mowę, pierwsze jego słowa były: — Nie pójdziesz sama, ja pójdę z tobą.

— Dokąd byś poszedł? zdziwiła się i przelękła Kasia.

— Myślisz, że bez ciebie pozostanę tutaj? Pójdziemy, będziemy razem służyli, mówił Jaś.

Teraz byłaby Kasia rzuciła się na szyję Jasiowi i obsypała całego pocałunkami. Nie mieć nikogo, i mieć tylko jego, który jej nie odpędza, chce z nią dzielić wszystko, cokolwiek ją spotka, swój los złączył z jej losem, czyż nie mogła się czuć w obecnej chwili dwakroć człowiekiem, czyż nie mogła mieć zarazem w sercu ciepło, jasno, kwiaty i śpiew?

— Przecie znajdziemy miejsce, gdzie będziemy mogli zagrać i zaśpiewać, pytająco rzekł Jaś, i na dowód prawdy zdjął skrzypce z kołka i zagrał, jakoby ze wszystkiemi ptakami w lesie rozstawał się, i jakoby im dawał do zrozumienia, że musi sobie szukać podgórza, lasu i wypróchniałego drzewa gdzieś na innym końcu świata. Kasia śpiewała z nim, i zdawało się, że niebyłoby możebnem, aby ci dwoje ludzi kiedy się rozeszli, by ta gra i ten śpiew bez siebie osamotniały, gdyż są jakoby jedno i nie dadzą się podzielić na dwie osobne części.

— Wiesz co, przerwał Jaś z taką radością, jak gdyby skarb odkrył. Nigdzie nie pójdziemy służyć. Pójdziemy w świat — ja ze skrzypcami, ty zaś będziesz śpiewała.

Znali ten świat tak daleko, jak sięgały gumna ojcowskie, a chcieli iść w świat! Skoro tak postanowili, musiało więc to być pierwszym krokiem w świat szeroki. Wpierw chcieli u ludzi służyć; teraz będą rozweselać ich skrzypcami i śpiewem, a czyż to co gorszego?

Jaś rozmyślał, jakimby sposobem do rana jeszcze mógł wydostać swe obleczenie, by mogli wyruszyć w drogę. I umówili się, że Kasia zanocuje w wypróchniałym dębie i będzie pilnowała skrzypiec, aby ich nie stracić właśnie wtedy, kiedy są najbardziej potrzebne; on zaś w nocy przyniesie swoje manatki, i ze wschodem słońca powędrują.

Ziarnko, które już nie jest w ochronnej łupinie, łatwo porywa wiatr; te dzieci straciły ochronną łupinę, poddały się wiatrowi i wiatr je unosił. Prędko porozumiały się o plan i wykonanie.

Dziś wieczorem Jaś gnał stado ku domowi, gnał prędko, jak wówczas, kiedy usłyszał, że dzwonią konającemu ojcu. Lecz gnał je z innem uczuciem. Była inna przyczyna, Jasiowi było wesoło. Dziś pragnął coś takiego wypłatać, aby na się mógł ściągnąć gniew stryja, taki gniew, któryby go pozbawił schronienia w domu rodzicielskim, aby był równy Kasi. To mu się nie udało, ale powodu mu nie zbrakło.

Woła go stryjenka, mówiąc: — Nie pożegnałeś się też ze swoją panną. Pozbyliśmy się nakoniec tego darmozjada, przybłędy, tego twego pieszczocha. Przynajmniej uwolniliśmy się od niepotrzebnego kłopotu, a to tylko patrzaj na nią, aby na swych delikatnych rączkach odcisków nie dostała.

Na to rzekł Jaś: — Toć ja wiem, pocoście ją wygnali. Że nas ojciec nieboszczyk kochał bardziej niż chałupę, radzibyście i mnie z domu się pozbyć, dla tego że wam chodzi wielce o chałupę. Ale się wam to nie uda.

Ta odpowiedź do wściekłości przyprowadziła stryjenkę, gdyż była prawdą i wiedziała, że Jaś zaczyna odgadywać jej zamysły. Wieczorem rzekła mężowi, co powiedział Jaś, i nastał w domu sądny dzień. Stryj szukał Jasia, chcąc go nauczyć, jak to ze stryjenką się mówi, a nie znalazłszy go, twierdził, że to schowa dla niego na jutro, na śniadanie.

Ale na śniadanie nic nie było. Jaś umknął z zawiniątkiem do wypróchniałego drzewa, i skoro dzień nastał, niósł stryj mu śniadanie, ale gdzie już byli Jaś z Kasią?!

Rano w domu powstała wrzawa. O Jasiu ani słychu, żaden z czeladzi nie wiedział o nim; we wsi śmieli się z brata Swobody, że będzie do żniw sam pasał owce.

I tak Jaś z Kasią poszli w świat szeroki. Bardzo rano, jak tylko pierwsze słoneczne promienie przekradły się przez wierzchołki dębowego lasu, byli już na nogach, gotowi w drogę. Stali pod wypróchniałym dębem jakoby przy swojej świątyni, jakby przy swoim prawdziwym domie. Z chałupy wyszli z lekkiem sercem, gdy zaś mieli stąd odejść, serce im omdlewało. Tu był ich kościół, w którym byli aniołami i pobożnemi słuchaczami. Drzewo to widać miało korzenie i w ich sercach. I zaiste i ten kwiatek, rosnący na podgórzu, także miał odnóżki w ich sercach. I smutek ich ogarnął. Uklękli na mogile w której kiedyś pochowali gałązkę, pręciki i macierzankę, składając z nich Jasiową matkę.

— Jasiu, ty płaczesz, rzekła Kasia i sama zalała się łzami.

— Kasiu, mówił Jaś, jeśli na tym świecie zachorujemy, przyjdziemy tutaj się leczyć.

I było im za ciężko zrobić pierwszy krok.

Wziął Jaś Kasię za rękę, silnie ją trzymał i mówił: — Kasiu, jeśli zabłąkasz się w świecie, tutaj przyjdę cię szukać, pamiętaj dobrze drogę.

I było im srodze ciężko, jak gdyby im kto z piersi serca kawał po kawale wyrywał.

Kroki pierwsze były nader opieszałe, ledwo stąpali. Kroki stawały się lżejszemi, w miarę tego jak tracili z oczu wioskę, rzekę, podgórze i las, i było im wtedy lekko jak dwóm ptaszkom. Tylko młodzież prędko się przyzwyczaja i rychło zapomina. d. c. n.

d. c. n.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Podokres solodajny.

Warstwy niewielkiej rozległości wytworzone w czasie tego podokresu noszą, nazwę solodajnych dla tego, że zawierają w sobie znaczne pokłady soli morskiej.

Jakiem jest pochodzenie tych ogromnych osadów soli morskiej, znajdywanych w powyższych pokładach, poprzekładanych zawsze cienkiem i warstwami gliny lub marglu? Na to pytanie znajdujemy jedynie odpowiedź, przyjmując parowanie wielkich mas wody wciśniętej przypadkowo w głębiny ziemi lub zatoki, które następnie oddzielone od morza zostały przez wzgórza pobrzeżne.

Rycina tu zamieszczona uzmysławia nam zjawisko tego rodzaju, powtarzające się na rozległej przestrzeni brzegów morskich w ciągu podokresu solodajnego, w skutek czego wytworzyły się znaczne pokłady soli kamiennej, napotykane obecnie w warstwach należących do tego podokresu. Z prawej strony drzeworytu, widzimy morze oddzielone wyniosłem wzgórzem od niziny z łożyskiem gliniastem i zamulonem. W pewnych odstępach czasu, w skutek rozmaitych przyczyn, morze przerzucając się przez wzgórze, zapełniało wodą nizinę. Można też przypuszczać, że w tej miejscowości istniała zatoka, łącząca się pierwotnie z morzem, że następnie wiatry wyformowały wydmę piaszczystą a tem samem przetworzyły zatokę w kotlinę ze wszech stron zamkniętą. Cokolwiek bądź, wody morskie raz zawarte w tej kotlinie z łożyskiem gliniastem, nie znajdując nigdzie ujścia, parowały pod wpływem ciepła promieni słonecznych i wytworzyły w skutek tego parowania, obfite osady soli morskiej, pomieszanej z innemi solami mineralnemi, towarzyszącemi jej chlorkowi sodu (soli kuchennej) a mianowicie z siarczanem magnezyi, chlorkiem potażu i t. p. Osady solne wytworzone w skutek parowania wody morskiej, pokryte wkrótce zostały warstwami gliny i mułu, zapełniającemi błotną wodę kotliny i w ten sposób wyformowała się pierwsza warstwa soli morskiej, poprzekładana gliną lub marglem.

Morze w skutek tejże przyczyny i tychże samych warunków miejscowych przerzucając nowe fale, zapełniało tę kotlinę. Wody jego znowu parowały i wytworzyły drugą warstwę soli morskiej osadzoną na ziemnem ułwiceniu. Owóż ostatecznym rezultatem ciągłego powtarzania się tego zjawiska w ciągu długich upływów czasu, było wyformowanie się obfitych osadów soli kamiennej, jakie znachodzimy w warstwach drugorzędowych. Z tego źródła pochodzą kopalnie tejże soli we Francyi, jako to w departamentach Meurthe, Vic, Dieuze, Château-Salins, Wyższej Sekwany i nadto w wielu okolicach Niemiec.

Drzeworyt tu załączony przedstawia nam nie tylko malowniczy obraz ziemi w podokresie solodajnym, ale zarazem wyjaśnia tworzenie się soli kamiennej, w warstwach drugorzędowych. Przekrój teoretyczny ziemi wyobrażony na pierwszym planie ryciny, pozwala nam widzieć warstwy soli kamiennej, wytworzone w skutek opisanego wyżej mechanizmu geologicznego. Warstwy te ułożyły się skośnie, z powodu ruchu pokładów ziemnych wyformowanych już po osadzeniu się soli.

Odnośnie do fauny podokresu solodajnego, nie mamy nic nowego do zaznaczenia, gdyż zwierzęta zamieszkujące owoczesne pobrzeża morskie, nie różniły się niczem od właściwych podokresowi muszlowemu.

W końcowej epoce tryasu, lądy nie wiele wyniosłe, poprzerzynane były tu i ówdzie wielkiemi jeziorami, których krawędź stanowiły brzegi płaskie i jednostajne. Rośliny krzewiące się na tych pobrzeżach, były bujnie rozrodzone — szczątków ich posiadamy wielki zasób. Florę solodajnego podokresu, składają paprocie, skrzypy, sagowce, drzewa szyszkowe i niektóre rośliny zaliczane przez Brongniarta do jednoliściennych, wątpliwie odznaczonych.

Z rodzajów paproci wymieniamy *Sphenopteris* i *Pecopteris* z pośród których drzewo *Pecopteris Stuttgartiensis* miało trzon żłobkowany, wznoszący się bez wypuszczania gałęzi do pewnej wysokości, i uwieńczony koroną liści wykrojonych z długim ogonkiem. Ze skrzypów wypada nam zaznaczyć wielki krzew *Equisetites columnaris*, osadzony na wysmukłym trzonie i wydający owoce kształtu podługowatego. Skrzyp ten wielkością swą przerastał wszelkie inne rośliny krzewiące się na bagniskach. Sagowce w tymże czasie reprezentowane były przez *Pterophyllum Joegeri* i *Munsteri*, głównym zaś przedstawicielem rodziny szyszkowych było drzewo *Taxodites munsterianus*. Wreszcie trzony kalamitów oplatała roślina opatrzona liściem owalnym, posiadająca owoce ułożone w grona, zawisłe na długich ogonkach liściennych. Była nią *Presleria antiqua*, roślina według Brongniarta jednoliścienna nie dość wybitnie odznaczona, którą Unger poczytuje za pierwotną przedstawicielkę rodziny *Kolcowojowatych* (Smilaceae). Tenże botanik odnosi do rodziny *Sitowatych* (Juncaceae), roślinę błotną wielce pospolitą w tej epoce: *Palaeoxyris Munsteri* zaliczaną przez Brongniarta do jednoliściennych i mieści ją w jednym rzędzie z preslerią.

Lecoq w ten sposób obrazuje nam roślinność podokresu solodajnego: „Rośliny skrytopłciowe komórkowate, panowały tu równie jak w epoce węglowej; gatunki wszakże tej flory, przejawiały kształty nieco zmienione. Z paproci najpotężniej rozradzały się ówczas rodzaje: *Cladephlebis*, *Sphenopteris*, *Coniopteris* i *Pecopteris*. Skrzypy były więcej rozwiniętemi niż we wszelkich innych epokach geologicznych. Przepyszne drzewa z gatunku *Calamites arenaceus*, tworzyły wtedy wielkie lasy. Skrzypy leśne (Equisetum silvaticum), z trzonem żłobkowanym, przedstawiały się w postaci wyniosłych kolumn, na szczycie których gałęzie liściem okółkowym pokryte tworzyły wytworną całość.

Skrzyp zwany przez Brongniarta *Equisetum columnaris* dochodził niepospolitej wysokości. Pterofilie. Zamje sagowcowate i drzewa szyszkowe, składały wówczas florę leśną na ziemi przesyconej wilgocią. W okresie tym obok panujących w nim roślin dwuliściennych, skrytonasiennych, przejawiają się po raz pierwszy okazy rzeczywistych jednoliściennych. *Presleria antiqua* o długich ogonkach, rozwieszała na pniach starych drzew grona barwnych jagód, podobnie jak dzisiejsze rośliny kolcowojowate, do których rodziny możemy tę roślinę zaliczać. Gdzieindziej w pośród bagnisk rozradzały się kępy traw, z gatunku *Palaeoxyris Munsteri*, rozweselające smutne pobrzeża morskie.

Widzimy stąd, że przez długi czas ziemia przechowywała swą pierwotną roślinność, której rozwoje i rozrody zachodziły wielce powolnie. Jeżeli w epokach geologicznych niezmiernie od nas odległych, brak dziś istniejących typów roślinnych, to natomiast zaznaczyć nam wypada, że rośliny obecnie się krzewiące a pokrewne florze starożytnego świata, nie przedstawiają już właściwych im wówczas kolosalnych wymiarów. Dzisiejsze skrzypy i widłaki, są lichemi reprezentantami lepidodendronów i kalamitów, asterofility zaś znikły z powierzchni ziemi przed okresem tu rozpatrywanym."

Główne rośliny cechujące podokres solodajny, widzimy na urwistem skalnem pobrzeżu, położonem na samym krańcu z lewej strony krajobrazu. Wytworne i wyniosłe drzewa jakie tu napotykamy, należą do kalamitów z gatunku *arenaceus*. Niżej spostrzegamy wielkie skrzypy *Equisetites columnaris*, wysmukłe jak topole lub świece meksykańskie, o tkance miękkiej, mięsistej, które wznosząc swe proste trzony na samotnych pobrzeżach morskich, nadawały im dziwnie malowniczą fizyognomikę. Pokłady solodajne składają się z wielu warstw gliniastych i marglowych, nieregularnie zakolorowanych barwami: czerwoną, żółtą, niebieskawą lub zielonawą. Od tych barw owe piętro geologiczne pozyskało nazwę *margli pstrych*. Warstwy marglu poprzekładane bywają pokładami piaskowca, równie rozmaicie zabarwionego. Podrzędnemi składnikami w tym utworze, są węgiel iłowy i gips, sól kamienna wszakże stanowi w tej formacyi pokład najszerszy i najważniejszy. Warstwy solodajne dochodzące od 24 do 35 stóp pols. grubości, poprzekładane są pokładami gliny, a całość takich naprzemian na sobie spoczywających warstw, dochodzi niekiedy 520 stóp polsk. grubości. W Niemczech, w Wirtembergu i we Francyi, przemysł korzysta z pokładów soli kamiennej. W departamencie Jura wydzielają sól z wód do tegoż piętra należących, przesyconych chlorkami. Kopalnie soli kamiennej tryasowej, z powodu ich głębokości nie mogą być z taką łatwością eksploatowane, jak pochodzące z późniejszego utworu a mianowicie z trzeciorzędowego. Osady solne istniejące naprzykład w Polsce, a mianowicie w Bochni i Wieliczce, a pochodzące z epoki trzeciorzędowej, leżące w niewielkiej głębokości, łatwiej dają się zużytkować niż sól tryasowa zbyt głęboko osadzona aby można było w jej pokładach urządzać galerye. Z tego też względu w miejscowościach zasobnych w sól tryasową, wiercą studnie, napełniane następnie wodą. Ta nasyca się solą morską i wydobytą zostaje za pomocą pomp, wreszcie po

poddaniu tej wody parowaniu, otrzymują z niej sól krystaliczną.

Warstwy solodajne występują w wielu miejscowościach Europy. We Francyi znachodzimy je w departamentach Indre, Cher, Allier, Nièvre, Sekwany i Loary, na stoku zachodnim góry Jura, około Poligny i Salins, i na stoku zachodnim Wogezów. Przejawiają się nadto w Doubs a dalej tworzą wszędzie pas na piętrze muszlowym, jako to w departamencie Wyższej Sekwany, Wyższej Marny, w Wogezach, i rozpościerają się w Meurthe (Lunéville, Dieuze), oraz w departamencie Mozelli. Warstwy solodajne znajdujemy prócz tego na północy Bouzonville, w prowincyach nadreńskich, na wschód od Luksemburga aż do Dockendorfu. Toż samo piętro kajprowe napotykamy w Szwajcaryi i w Niemczech, w kantonie Bâle w Argowii, w wielkiem księstwie Badeńskiem, w Wirtembergu, Tyrolu i Salcburgu. W Anglii utwór ten zaczyna się przejawiać we wschodniej części hrabstwa Devonshire i tworzy pas przechodzący przez Somersetshire, Glocestershire, Worcestershire, Warwick, Leicestershire, Nottigham, ciągnąc się aż do Yorkshire i rzeki Tees. Skrawek do tego utworu należący, natrafiamy też w Chestershire. Część gór Świętokrzyskich prawdopodobnie należy do tegoż utworu.

Jakkolwiek piętro solodajne przedstawia ubóstwo szczątków organicznych we Francyi, to natomiast, jest w nie zasobną druga strona Alp, a mianowicie: Tyrol, Saint-Cassian Aussec i Hallstadt; gdzie pokłady soli mieszczą w sobie mnóstwo skamieniałości morskich. Z głowopławów znachodzimy tu cerality a w szczególności ammonity przeróżnej postaci. Mięczak skoruponośny z pancerzem komórkowatym, z rodzaju *orthoceras*, wielce pospolity w okresie sylurycznym, utrzymujący się jeszcze w epoce dewońskiej i węglowej, znika na zawsze w podokresie solodajnym. Znajdujemy nadto w tym utworze, mnóstwo ślimaków najrozmaitszych kształtów, będących ostatniemi przedstawicielami rodziny *productus*. Niedźwiadki i polipy wytwornej budowy, z drugiej strony Alp zamieszkiwały morza, które we Francyi i Niemczech były prawie całkiem pozbawione zwierząt. Niekiedy całe warstwy składają się z niezliczonych skupień muszli, należących do rodzaju *Avicula*.

Na grzbietach górskich Alp i Karpat, znajdujemy wszędzie ślady utworu solodajnego, cechującego się tu wielkiemi skupieniami awikulów. Pokłady kajprowe napotykamy niemniej w Syryi, Indyach, Nowej Kaledonii, Nowej Zelandyi, Australii i t. p. Warstwy należące do tej formacyi przedstawiają ciekawe zjawisko. Z jednej strony Alp, które nadmienić winniśmy, w tej epoce jeszcze się nie wyformowały, znajdujemy wielkie skupienia osadowe, przesycone gipsem i solą kamienną, pozbawione szczątków organicznych, po drugiej zaś stronie tychże pasm górskich, napotykamy pokłady ziemne zawierające w sobie mnóstwo szczątków mięczaków morskich. Z gatunków ich wymieniamy *Myophoria lineata, Stellispongia variabilis* a z rodzaju czaszołek *Patella lineata*.

d. c. n.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Paryż, d. 5 marca 1876 r.

Od dwóch niedziel na całej przestrzeni Francyi wznoszą się tylko krzyki i okrzyki. Ludzie, którzy uważają siebie za wzór doskonałości, za zbawców społeczeństwa, krzyczą, że rodzina, własność i religia są zagrożone. Ludzie zaś, którzy poczytują siebie za niedoskonałych, pragną ulepszeń i postępu w dziedzinie społecznej, wydają okrzyki: niech żyje rzeczpospolita!...

Dla czego to zagrożona rodzina?

Rzeczpospolita odniosła zwycięztwo, a republikanie pragną ustalić rodzinę w gronie tych osób, które uznając siebie za ulubieńców Pana Boga, prowadzą życie bezżenne, częstokroć z obrazą najświętszych związków rodzinnych...

Dla czego to zagrożona własność?

Rzeczpospolita odniosła zwycięztwo, a republikanie postanowili położyć tamę szalbierstwu i kradzieży, jakiej się dopuszczali na francuzkim narodzie urzędnicy Napoleona trzeciego...

Dla czego to zagrożona religia?

Rzeczpospolita odniosła zwycięztwo, a republikanie dali sobie słowo, że zniweczą bałwochwalstwo ultramontanów, którzy z przybytku bożego zrobili dom handlowy, kupcząc cudami i wodą ze źródła Lourdes...

W kilka dni po zwycięztwie rzeczypospolitej nastąpiła konskrypcya wojskowa. We Francyi panuje zwyczaj, że młodzi popisowi, uznani za zdatnych do służby wojskowej, przyczepiają do swoich kapeluszów wyciągnięte numera, łączą się w gromady i na czele z trójkolorową chorągwią przechadzają się po ulicach miasta, wyśpiewując wesołe piosenki. Tegoroczni popisowi z departamentu Sekwany, przechadzając się po Paryżu, zaśpiewali *Marsyliankę*, i z całych piersi wykrzyknęli: niech żyje rzeczpospolita!..

Obrońcy rodziny, własności i religii uznali tę manifestacyę za rzecz nader niebezpieczną i ogłosili po swoich dziennikach, że „motłoch paryzki buntuje się.“ Rozumie się, że ludzie poważni na prowincyi nie uwierzyli doniesieniu „prasy konserwatywnej,“ przekonani w ciągu ostatnich lat czterech, że tak zwani konserwatyści, obrońcy rodziny, własności i religii, są dzisiaj największemi blagierami, czyli wierutnemi pływakami, mówiąc po naszemu...

Doniesienie o buntach „motłochu paryzkiego“ rozśmieszyło Francuzów. A śmiech przypadł w samą porę. Było to pod koniec karnawału, bardzo posępnie rozpoczętego. Po nowym roku w Paryżu i na prowincyi nikt nie myślał o zabawach, zakłopotany matactwami pana Buffeta! Raptem rzeczpospolita odnosi zwycięztwo. Konserwatyści w lament, a republikanie dawaj szaleć i bawić się na potęgę!... *Dulce desipere in loco* wyśpiewywał nieboszczyk Horacy. Rzekłbyś, że Paryżanie, których większość wyznaje republikańską wiarę, przypomnieli sobie tę piosnkę rzymskiego poety. Nigdy pono tak się wesoło nie zakończył karnawał w Paryżu, jak tego roku. Bo w tym czasie zdarzył się wypadek, który sprawia prawdziwą pociechę szlachetnemu sercu. Dzień 20 lutego 1876 roku, będzie stanowił epokę w dziejach nowoczesnej Francyi, i w dziejach Europy.

Bal maskowy, w przedpopielcową sobotę w Nowej operze odbyty, wypadł jak najświetniej.

Na tym balu znajdowało się przeszło pięć tysięcy osób, a dochód wynosił 83,500 franków. Bogaty mieszczanin, kupiec albo literat nie pożałował sztuki złota, aby się zabawić, będąc zadowolony ze zwycięztwa rzeczypospolitej. To też nie zauważano na balu bogatych i świetnych ubiorów, bo nikt nie przybywał dla popisania się z przepychem. Pomiędzy maskami podziwiano kilkunastu młodych mężczyzn, którzy zręcznie udawali murzynów. Odzywali się oni do biesiadników: „I my synowie upośledzonego plemienia, przybywamy podzielać radość waszę!“ Jak widzicie, nawet zabawa nie daje się odłączyć od polityki.

Pomimo że się znajdowało na balu przeszło pięć tysięcy osób, tańczono swobodnie, tak jest obszerna Nowa opera. Muzykantami dowodził Strauss, ulubieniec Paryżanów. Jedna tylko nieprzyjemność spotkała uczestników zabawy. Sale były oświetlone gazem i stearynowemi świecami. Stearyna kapała na posadzkę, na suknie dam i kawalerów. Ztąd narzekania na pana Halanziera, dyrektora Nowej opery. Paryżanie upominają się, aby ten gmach oświetlano światłem elektrycznem, które już jest w użyciu na dworcu północnej kolei żelaznej.

Przy tej sposobności nadmienię, że dziennik *Republique Francaise* z dnia 29 lutego, podał ciekawy artykuł o elektrycznem oświetlaniu. Nie myślę tu rozwijać tego artykułu, będąc pewny, że niektóre pisma warszawskie wezmą go żywcem i ogłoszą za swą pracę oryginalną, jak to im się nie raz udało...

Przed świetnym balem w Operze, mieliśmy kilka koncertów. Paryżanie lubią muzykę. Koncerta bywają licznie odwiedzane. W upłynionym karnawale największego doznał powodzenia Henryk Wieniawski, szczególnie w *Concerto* Beethovena. Pan Wieniawski przyjeżdżał do Paryża z Brukselii, gdzie jest profesorem przy konserwatoryum muzycznem.

Drugi cudzoziemiec, który doznał w Paryżu ogromnego powodzenia, jest Ernesto Rossi, rodem Włoch, pierwszy dzisiaj artysta dramatyczny na całą Europę. W ciągu tej zimy, Rossi ze swą grupą grywał po włosku tragedye Szekspira. Zawsze było pełno doborowej publiczności w Teatrze Włoskim na przedstawieniach Rossiego. Rzadko który artysta odebrał tyle zaszczytów. Paryżanie robili mu owacye, obsypali go wieńcami, deklamowali wiersze na jego cześć ułożone; malarze paryzcy ofiarowali mu przepyszne album, a minister oświaty publicznej i sztuk pięknych urzędownie obdarzył go kosztowną wazą z fa-

bryki serwskiej. Rossi grał także po francuzku *Ruyblasa* i *Cyda*, a miał także wystąpić w *Cromwellu* Wiktora Hugona, w sztuce, która nigdy nie pojawiła się na scenie.

Działo się to blisko przed pięćdziesięciu laty, w 1827 roku, kiedy *Cromwell* wyszedł z druku. I sama sztuka i przedmowa do niej narobiła wiele wrzawy w świecie literackim. Obszerne rozmiary dramatu przestraszyły ludzi praktycznych. Uznano, że sztuka w tak rozwlekłą formę ujęta, nie da się przedstawić na scenie. Ale baron Taylor, Paweł Foucher i wielu innych przyjaciół Hugona byli przeciwnego zdania. Spór o ten dramat doszedł aż do teatru *Comédie Francaise*, do sławnego Talmy, który zapragnął wystąpić w roli Cromwella. Naznaczono więc schadzkę u Hugona. Na wyznaczoną godzinę Talma nie stawia się. Zaproszeni goście i gospodarz domu zagniewani na artystę, siadają do stołu. Pod koniec obiadu zjawia się Talma z rozczochranemi włosami i w nerwowej gorączce.

— Czy to się godzi — wołają goście — nie dotrzymywać słowa?

— Moi kochani — odpowie Talma — miałem fatalny wypadek. Przedemną na ulicy potoczyła się głowa trzechletniego dziecka!..

Istotnie, była to niesłychana w świecie zbrodnia. Henryka Cormier, kucharka z powołania, porwała trzechletnie dziecko, z którem ciągle się bawiła i w przystępie jakiegoś szału, swoim nożem kuchennym ucięła mu głowę, właśnie w tej chwili, kiedy Talma przechodził ulicą.

Po takim wypadku tragicznym, Wiktor Hugo nie czuł się usposobionym do odczytania Talmie wyjątków z *Cromwella*. Nareszcie po długiem naleganiu wypowiedział z pamięci scenę między Cromwellem i Davenantem.

Talma zachwycony kilku ustępami, zawołał:

— Oto mi dramat! dajcie mi go!... Panie Hugo, jestem na wasze usługi.

Jakoż postanowiono skrócić dramat i zastosować do warunków sceny. Ale wkrótce Talma umarł, a Wiktor Hugo nie znalazł drugiego artysty, któryby mógł godnie odegrać Cromwella. Nareszcie zjawia się tej zimy w Paryżu Ernesto Rossi. Powzięto zamiar przedstawienia *Cromwella*. Wiktor Hugo obiecał przerobić swój dramat, ale syt sławy literackiej wdał się w politykę. Z dzielnego pisarza i poety postanowił zostać lichym senatorem... Zresztą ostatniemi czasy publiczność paryzka niechętnie uczęszczała na sztuki Wiktora Hugona. Są to dla niej rzeczy już za stare, zbyt nudne. Paryżanie pragną rzeczy nowych, oryginalnych.

Teatr francuski zestarzał się, kiedy umiejętność wciąż hoża i młoda. Sztuka dramatyczna pozostaje na miejscu, kiedy umiejętność olbrzymim krokiem postępuje naprzód. Niektórzy pisarze zamierzyli wprowadzić literaturę i teatr na pole naukowe, gdzie się bez granic roztacza rozmaitość. Ci pisarze doznają we Francyi nadzwyczajnego powodzenia. Po *Tour du monde*, dramacie geograficznym, nastąpił *Le voyage dans la lune*, sztuka oparta na astronomii i fizyce. Obecnie grywany z wielkiem powodzeniem dramat *Les Danicheff* jest dramatem czysto etnograficznym. Publiczność tłumnie spieszy na tę sztukę, by się przypatrzyć zwyczajom, obyczajom i ubiorom rossyjskim. W świeżej komedyi *Etrangère*, Aleksander Dumas potrąca o zoologię, o wymoczki zwane *vibrionami*. Wprowadza na scenę uczonego badacza przyrody, podobnie jak drugi, zdolny dramaturg Karol Robin wyśmiewa teorye Darwina, chociaż nie tak to łatwo je wyśmiać i obalić.

Kiedy jedni przechodzą na pole umiejętności, to drudzy chcieliby ująć teatr w formy teokratyczne. Niedawno temu powstał w Paryżu komitet, z klerykałów złożony, który się nazwał *komitetem sztuki chrześciańskiej*. Rozpisał on konkurs na sztukę dramatyczną i położył takie warunki:

1° Sztuka może zawierać nieograniczoną liczbę aktów.

2° Ma być napisana wierszem.

3° Przedmiot będzie wzięty z żywotów świętych pańskich.

4° W tej sztuce nie będzie ani jednej roli kobiecej.

Autor dramatu, który zadość uczyni tym warunkom otrzyma w nagrodę dwa tysiące franków.

Liberalna prassa serdecznie się uśmiała z *komitetu sztuki chrześciańskiej*, a Gaston Vassy, odpowiadając na rozpisany konkurs, ogłosił w nowym dzienniku *La Gazette*, tragedyę w siedmiu aktach i dwudziestu sześciu wierszach, pod napisem: *Ruszt ś-go Wawrzyńca*. Osoby wchodzące do tej sztuki są: Ś-ty Wawrzyniec, ogromny ruszt żelazny, worek z kartoflami, kupa żaru i dwaj kaci, osoby nieme. Kaci występujący w tej tragedyi są niemi, ale za to ruszt, żar i kartofle gadają jak ludzkie istoty!...

Ze wspomnioną gazetą, organem republikańskim, Paryż liczy obecnie trzydzieści dwa ogromne dzienniki polityczne, wychodzące codzień, których i najbieglejszy czytelnik nie przeczyta w ciągu jednej doby. Liczba publikacyj peryodycznych w Paryżu, razem z dziennikami, wynosi przeszło dwieście.

Dziennikarstwo francuskie zostało uczczone w sobie Johna Lemoinne, którego uroczyste przyjęcie do akademii odbyło się dnia 2 marca. Lemoinne nie jest literatem, ale słynie jako pierwszy publicysta. Jego artykuły o ważniejszych sprawach francuskich i europejskich w dzienniku *Journal des Débats* ogłaszane, mają wielką wagę w świecie politycznym. *Journal der Débats* należy do najpoważniejszych organów prassy francuskiej i jest zarazem organem akademii. Za cesarstwa wyznawał opinie orleanistowskie, a dzisiaj jest szczerym obrońcą rzeczypospolitej umiarkowanej. Bo umiarkowanemi republikanami po większej części są członkowie Instytutu francuskiego, z wyjątkiem kilku orleanistów i bonapartystów, oraz księ dza biskupa Dupanloup, który jest nieubłaganym wrogiem wszelkiej formy republikańskiej. Pod tym względem biskup orleański jest wiernym tłómaczem wyższego duchowieństwa we Francyi. Biskupi i prałaci francuscy są ultramontanami, a co ultramontania, to wróg rzeczypospolitej, i nieprzyjaciel wszelkiego postępu. Ultramontanie to ogłosili katolicyzm za nieomylny i za szczyt doskonałości. Uznając siebie za istoty nieomylne i najdoskonalsze, ultramontanie to wypowiedzieli wojnę dzisiejszemu społeczeństwu. Prałaci francuscy dzisiaj głoszą: Rzeczpospolita katolicka, albo żadna!.. Forma rządu nie zależy od tego lub owego wyznania religijnego: izraelita, poganin, mahometanin lub chrześcianin zarówno może być dobrym obywatelem kraju.

Niższe duchowieństwo francuskie, w niewoli i poddaństwie utrzymywane przez ultramontańskich biskupów, jest w gruncie zacne, czysto narodowe. Potajemnie wynurza swą radość ze zwycięztwa rzeczypospolitej; bo tylko ona jedna zdolna jest wyswobodzić ich z pod jarzma dzisiejszych despotycznych biskupów.

Pozostaje jeszcze do pomówienia o niektórych nowościach naukowych i literackich.

Świeżo wyszedł 19-ty tom *Année scientifique et industrielle* przez Figuiera. Zawiera on najważniejsze odkrycia na polu umiejętności i przemysłu, za rok ubiegły. Metereologia jest obszernie traktowana w tym tomie, ze szczególnym względem na wylew rzek, który przeszłego lata zrządził ogromne szkody w południowej Francyi. Obecnie wezbrała Sekwana i zalała dzielnicę Paryża, zwaną Bercy, gdzie się znajdują składy win i wódek. Bałwochwalcy ultramontanie uważają te powodzie za karę, od Pana Boga na Francuzów zesłaną. Inżynierowie cywilni odpowiadają tym bluźniercom, że Pan Bóg nie ma nic do czynienia z powodzią, ani ze spustoszeniem, jakie ona sprowadza. Gdyby Francuzi powznosili odpowiednie tamy na brzegami rzek swoich, jak to uczynili Holendrzy, w takim razie uniknęliby powodzi na zawsze.

W dziale nadobnej literatury wypada mi zaznaczyć powieść Hektora Malot'a: *Auberge du Monde*, której dwa ostatnie tomy tylko co wyszły z druku. Malot po mistrzowsku opisuje w tem dziele zepsucie za drugiego cesarstwa, daje obrazy z czasów oblężenia Paryża i kończy na kommunie.

Literatura francuska poniosła stratę w osobie hrabiny d'Agoult, która zmarła dzisiaj rano. Hrabina d'Agoult, znana była w świecie literackim i politycznym pod przybranem nazwiskiem Daniela Sterna. Pisywała do *Revue des Deux Mondes*, do *Revue indépendante*, do *Courrier français* i do protestanckiej *Temps*, jednego z lepszych dzienników paryzkich. Hrabina d'Agoult była wyznania kalwińskiego, a jako autorka *Historyi i Rewolucyi 1848 roku* nie przestanie należeć do znakomitości literackich. Czytając to dzieło, niktby nie pomyślał, że ono wyszło z pod pióra kobiety, taka tam potęga treści i formy. I co powiedzą na to nieprzyjaciele emancypacyi i kobiet?...

Z powiatu Płockiego, w marcu 1876 r.

Pismo wasze w ostatnich latach, wyrobiło sobie charakter na pierwszy rzut oka uderzający przeważnie w kierunku wychowawczym

młodego pokolenia — rozpoczynając przeto do niego szereg korespondencyj, na czele stawiam kwestyę wychowania, tak jak ona przedstawia się tu u nas na prowincyi.

Dzieci inteligencyi, pobierają przeważnie naukowe wykształcenie, chłopcy w szkołach publicznych, dziewczynki w domu rodzicielskim, pod kierunkiem guwernantek. O ile wychowanie szkolne wyrabia w młodzieży płci męzkiej hart ducha i usposabia przez stosunek koleżeński przyszłych obywateli kraju, którzy bądź cobądź z jakiejkolwiek warstwy narodu wychodząc, zawsze w dalszych kolejach życia spotykając się na szerokich obszarach widowni społecznej, jako koledzy szkolni iść będą ręka w rękę — o tyle znowu takież wychowanie dziewczynek, jak doświadczenie przekonywa, inne daje wyniki. Nie przemawiamy przeto za wychowaniem córek naszych przez guwernantki, ale jesteśmy tego przekonania, że pod dozorem bezpośrednim, należycie pojmujących swe obowiązki troskliwych matek — gdy ukształcone osoby zajmują pozycyę sterownictwa naukowego panienkom, wtedy takie wychowanie prywatne, dodatne wyda owoce, zwłaszcza że w domu rodzicielskim, panienka znajduje sposobność jak w mieście, osobistego zajęcia się lub przypatrzenia przynajmniej pracom takim, które stanowić mają przedmiot ich przyszłych zajęć na wsi, jak np. ogrodnictwo w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, gospodarstwo wiejskie z odcieniami wszelkiego rodzaju zajęć domowych, jedwabnictwo, hodowla drobiu, gospodarstwo mleczne i t. p.

Patrząc na tak wychowywane panienki w naszych domach obywatelskich, bez urojonych pretensyj do wrzekomej wyższości, nieznające zewnętrznych tak zwanych cech emancypacyjnych, aż się serce raduje, gdy siostra najstarsza wychodząc za mąż, oddaje siostrze młodszej ów pęczek kluczyków, który za fartuszkiem nosiła; jako godło naczelnictwa w zarządzie domowym, który pełniła zastępując matkę.

Że nasze zapatrywanie się na przedmiot, podziela znakomita większość obywateli ziemskich, dowodem tego statystyczne dane które czerpiemy z urzędowych źródeł. Otóż w 1874 roku w gimnazyum płockiem męzkiem było uczniów 410, a w żeńskiem 180 i to przeważnie córek urzędników i mieszczan.

Szkoły początkowe po wsiach i osadach powstałych po zamienieniu miasteczek na takowe, kosztem mieszkańców gmin utrzymywane, znajdują się w gubernii naszej w stanie wiele pozostawiającym do życzenia. Włościanin nasz i małomiasteczkowy mieszkaniec, niepojął w całej pełni korzyści jaka płynie z nauki, uważa on ją jako ciężar zbytkowy, bo będąc z natury oszczędnym w wydawaniu gotowego grosza, składki na utrzymanie szkoły dotkliwie uczuwa; dla tego też jako członek zgromadzenia gminnego bez oświaty, niedba wcale o nadzór nad szkółkami elementarnemi, który wolą prawodawcy, gminom samym jest pozostawiony. Na brak zdolnych nauczycieli do szkółek wiejskich, również uskarżyć się musimy — mamy jednak nadzieję, że seminaryum nauczycieli kształconych w tym kierunku, i jedna szkoła wzorowa w naszej gubernii istniejące, z których pierwsze posiadało uczących się 57, a druga 30, z ubiegiem czasu dadzą zdolne indywidua na te zaszczytne posady.

Dziś w naszej gubernii, znajduje się szkółek elementarnych po wsiach i miastach 212, w których było uczących się 12,800; do tego dodawszy szkoły niedzielno-rzemieślnicze, których jest 10 w gubernii z uczącymi się w nich 521, 12 szkół prywatnych z liczbą uczących się 448, 54 kantoraty z liczbą uczących się 1,590, jedna szkoła handlowa z 6 uczniami i gdy to wszystko dodamy otrzymamy ogólną liczbę uczących się 16,042, to jest chłopców 9,912, kobiet 6,130.

Cyfra mieszkańców gubernii dochodzi do 500,000, a zatem wypada jeden uczący się na 32 mieszkańców, a zastanawiając się nad stosunkiem szkół do ogółu mieszkańców otrzymamy jedną szkołę na 1,698 mieszkańców, a szczegółowo co do szkół wiejskich, jedną na 2,342 mieszkańców.

Że cyfry te pokazują nizki stopień ukształcenia, dowodzić nie mamy potrzeby; działanie w tym kierunku, do kogo to należy, jest moralnym obowiązkiem; my ziemianie, odsunięci od spraw ogólne interesa gminy na celu mających, możemy występować pośrednio tylko w tej sprawie, i występujemy gdzie tylko i jak tylko można. Pomijając miejscowy organ gubernii naszej „Korespondent Płocki,“ w którym sprawy oświaty krajowej stoją na porządku dziennym, poruszamy tę ważną kwestyę na zebraniach gminnych, zachęcając młodszych braci naszych do zakładania szkółek gromadzkich, ofiarując niejednokrotnie z własnych funduszów, czem można: to bezpłatnem mieszkaniem dla nauczyciela, to kawałkiem gruntu dla tegoż, to drzewem służyć bez żadnej pretensyi. Niezawsze głosy nasze, z przyczyn o jakich wyżej wspomnieliśmy są wysłuchiwane, ale wpływ rad naszych nie okazuje się obojętnym, moglibyśmy nawet zacytować przykład, gdzie dzieci biednych włościan bezrolnych, gdy w okolicy nie ma szkółki wiejskiej, z kilku wsi w promieniu półmili, nie zważając na ciężkie mrozy, w liczbie kilkunastu, z własnej a nie przymuszonej woli rodziców, udawały się po naukę do organisty. W ogóle zauważyliśmy, że majętniejszy włościanin wyżej ceni swoje materyalne stanowisko nad naukę — że biedniejszy, w chęci wyrównania zamożniejszemu w nauce dzieci swoich widzi środek wywyższenia takowych, i wydźwignięcia z biedy w jakiej sam zostaje.

Z oświatą w ścisłym stosunku zostaje moralność publiczna, im pierwsza wzrasta, tem druga się potęguje. Udajmy się znowu do pomocy cyfr statystycznych, aby na przykładzie naszej gubernii, uwydatnić wyżej rzeczony stosunek. Wedle wiarogodnych danych, ogólna liczba przestępstw w naszej gubernii w 1873 roku wynosiła 1,205, liczba osądzonych za te przestępstwa dosięgła cyfry 2,198, a ta ostatnia znów cyfra, podług ukształcenia tak się rozpadła:

posiadających wykształc. gimnazyalne	12
posiadających wykształc. ze szkół pow.	79
posiadając. ukształc. ze szkół element.	296
umiejących tylko czyt. w jęz. krajowym	501
nieumiejących ani czytać, ani pisać	1310
razem	2198

Zdaje się że stosunek tych cyfr, pomiędzy sobą, jest najdobitniejszym dowodem o wpływie ukształcenia na moralność publiczną.

Bez wątpienia, że w klasach nieoświeconych, silną dźwignią do podtrzymania moralności, jest wkorzenianie w massy ludu czystej wiary — kazalnica, konfesyonał i miewane przez niektórych proboszczów nauki przystępne do pojęcia ludu podczas nieszporów, mają w tym względzie doniosłe znaczenie. Praktyczne poznanie usposobień wieśniaków naszych, zniżanie się do ich pojęć, radzenie w chorobach ciała i duszy, jedna ufność ku przewodniczącemu w parafii. Moglibyśmy przytoczyć tu przykład, że działalnością w tym kierunku, jeden z proboszczów naszej okolicy, rozbudził zamiłowanie ogrodnictwa, sam ucząc szczepić i pielęgnować drzewka owocowe, — zamiłowanie do pszczolnictwa, radząc postępowego obchodzenia się z tym pożytecznym owadem, przez co znakomicie podniosła się moralność wiosek, dawniej z wielu względów do nie zazdrości.

Zaczepiwszy stosunek wiary do moralności, na zakończenie tej pierwszej korespondencyi naszej, winniśmy zwrócić uwagę ks. v. plebanów na krzyże z wyobrażeniem męki Zbawiciela, przez pobożnych ojców lub dziadów naszych postawione przy drogach publicznych. Dziś święte wyobrażenia te, są w stanie zupełnego upadku; popróchniałe skutkiem ubiegu czasu pozałaziły w ziemię, wyobrażenia męki pańskiej pospadały z takowych, ramiona krzyża podłamywane. słowem jest w tym względzie stan taki jak po przejściu Tatarów.

Władza nie broni podobnego rodzaju restauracyi, ale wymaga, aby podejmujący takowe, wyjednywali stosowne administracyjne pozwolenie. Jeżeli więc trudno jakoś zebrać się na wyjednanie takiego pozwolenia, to lepiej już może zdecydować się na zupełne zniesienie porujnowanych krzyżów, aniżeli w obliczu ludu wiejskiego, zezwalać na sprofanowanie widomych znaków wiary, którą on tak tradycyjnie szanuje.

Mazur z Płockiego.

REFORMA SĄDOWA.

II.

Sprawy zarówno karne jak i cywilne, które przewyższają atrybucye sądów gminnych i pokoju, rozstrzygane będą w pierwszej instancyi w sądach okręgowych. Takich sądów będzie 10 w królestwie, po jednym w każdej gubernii. Każdy z nich składać się będzie z wydziałów, w których przewodniczyć będą wiceprezesi lub prezes; wydział tworzyć będzie kollegium sądowe, złożone przynajmniej z trzech członków. Sąd okręgowy warszawski dzielić się będzie na 6 wydziałów, inne na trzy. Przy każdym sądzie okręgowym będzie pewna ilość sędziów śledczych; ma ich być wszystkich 103. W skład sądów okręgowych cesarstwa

wchodzą jeszcze wybierani z mieszkańców sędziowie przysięgli, u nas jednak instytucya ta wprowadzoną jeszcze nie zostanie, aż do czasu oddzielnego w tym względzie rozporządzenia.

Instancyą apelacyjną dla sądów okręgowych będzie izba sądowa w Warszawie, podzielona na departamenty, z których każdy składać się będzie z prezesa i pewnej liczby członków. Prezesów będzie trzech, członków 12-tu.

Po nad wszystkiemi sądami królestwa i cesarstwa rozciągać będą swą władzę opiekuńczą departamenta kasacyjne rządzącego senatu; składające się z prezesów i senatorów. Sąd kasacyjny spraw nie rozstrzyga, lecz tylko czuwa nad dokładnem tłómaczeniem i stosowaniem osnowy prawa.

Tak więc wszystkie sprawy sądowe rozstrzygane będą albo w sądach gminnych i pokoju, z apelacyą do zjazdów, lub w sądach okręgowych z apelacyą do izby sądowej. Każda więc sprawa przechodzić może najwyżej dwie instancye, niektóre zaś z nich ostatecznie będą załatwiane już w pierwszej.

Na tem kończymy przegląd organizacyi samych sądów, prócz tego jednak musimy po krótce nadmienić i o tych instytucyach, które będą niejako dopełniały władze sądzące.

Do takich należą przedewszystkiem kancelarye sądowe. Składać się one będą z sekretarzy i ich pomocników, mianowanych przez odpowiednich prezesów i urzędników do pisma, płatnych z ogólnej sumy wydatków na ten cel przeznaczonych. Pisarza sądu gminnego mianować będzie prezes zjazdu na przedstawienie sędziego gminnego; pisarza sędziego pokoju również tenże prezes. Przy każdym sądzie będzie wydział hipoteczny z oddzielną kancelaryą i archiwum, w skład którego wejdą sędziowie i archiwista. U jednego z sędziów pokoju w każdym powiecie będzie także znajdował się wydział hipoteczny, składający się z sędziego pokoju, sekretarza i notaryusza, aplikanta lub obrońcy.

Notaryusze, odpowiadający dzisiejszym rejentom mają się znajdować w stolicy, miastach gubernialnych i powiatowych, a nawet w samych powiatach. Pozostają pod zwierzchnictwem sądów, wynagrodzenie pobierają od stron, zajmując się sporządzaniem aktów i innemi podobnemi czynnościami.

Wykonaniem wyroków zajmują się komornicy, mianowani przez prezesów przy sądach pokoju, okręgowych i izbie sądowej; doręczanie zaś wezwań i aktów powierzane będzie woźnym. Komornicy obowiązani będą złożyć kaucyę w ilości 600 rubli i wykonać przysięgę. Oprócz pensyi pobierać będą odpowiednie wynagrodzenie za każdą czynność według taksy, wynagrodzenie to jednak stanowić ma wspólną własność wszystkich komorników i rozdzielane będzie w pewnych terminach przez ministra sprawiedliwości pomiędzy okręgi izb sądowych. W cesarstwie komornicy w liczbie od 5 do 10 członków tworzyć mogą rady z władzą dyscyplinarną i stowarzyszenia, solidarnie poręczające za każdego z członków-komorników. Pożyteczne te jednak urządzenia u nas nieco później wprowadzone będą. W okręgu sądowym warszawskim będzie 98 komorników: 3 przy izbie, przy sądzie okręgowym warszawskim 10 a przy innych zaś po pięciu i po dwóch przy zjeździe. Woźnych 152.

Oprócz powyższych urzędników przy każdym sądzie z włączeniem i sądów pokoju będą mianowani przez prezesów aplikanci sądowi. Aplikantami będą mogli zostać ci tylko, którzy pokończyli wyższe zakłady naukowe. Czas aplikacyi i miejsce zajęcia nie oznacza się bliżej.

Główną zaletą sądu jest bezstronność rozstrzygania spraw i w tym to właśnie celu oddzieloną została władza sądowa od innych; sędziowie zaś na swych posadach uznani niewzruszalnemi dopóty, dopóki równie niezależni ich towarzysze nie wydadzą na nich potępiającego wyroku; dla tego wymagane są od tych władców życia i śmierci wysokie przymioty moralne i specyalne wykształcenie; dla tego wreszcie prawodawcy, uznając trudność powyższego zadania powołują do wyrzeczenia o winie i niewinności samych obywateli danego społeczeństwa, tworząc instytucyę sądów przysięgłych. Wszechwładna jednak Temida ważąc na szali sprawiedliwości losy winnych lub tylko obwinionych śmiertelników, potrzebuje się z bliska dotknąć i posłuchać pulsu życia społecznego, opartego na grze często wrogo występujących interesów stronniczych. Musi być ona koniecznie obserwatorką pilną i uważną.

Każdy czyn społeczny, a więc i przewinienie potrąca o dwie strony ludzkiego życia, o jego stronę indywidualną i społeczną. W każdem przestępstwie bywa bezpośrednio interesowane społeczeństwo i jednostka. Pomiędzy temi dwoma stronami rozpoczyna się więc sprawa przed sądem. Przedstawicielem pierwszej jest państwo, one więc deleguje swego pełnomocnika, który ma bronić jego interesów; druga strona—obwiniony lub pozwany, także broni swych praw i swego dobra osobiście lub przez pełnomocnika. Przed sądem stają więc dwie strony, dwaj pełnomocnicy: prokurator i obrońca.

W społeczeństwie, w którem interes jednostkowy i ogólny harmonijnie się dopełniają, wiążą i bywają równouprawnione, prokurator i obrońca mają równe prawa i równie ważne w obec sądu zadanie.

Według nowej organizacyi najpierwszym prokuratorem jest sam minister sprawiedliwości, dalej idą prokuratorowie przy departamentach rządzącego senatu ze starszym na czele, następnie przy izbie sądowej prokurator i jego pomocnicy, przy sądzie okręgowym również. Obowiązki prokuratora przy zjeździe pokojowym pełnić ma pomocnik prokuratora przy sądzie okręgowym. Prokuratorowie tworzą niejako władzę oddzielną, powiązaną węzłami zależności wzajemnej według zajmowanej godności i jako przedstawiciele władzy państwowej mają pewien nadzór nad sądami. Przy warszawskiej izbie będzie prokurator i trzech jego pomocników, przy sądach zaś okręgowych po jednym prokuratorze i po kilku pomocników, w Warszawie 6, w miastach gubernialnych po 3 i 4.

Równolegle z instytucyą prokuratorów, stoi instytucya obrońców. Jako przedstawiciele interesów indywidualnych nie pobierają oni od państwa żadnej pensyi, lecz tylko wynagrodzenie od stron interesowanych. Nie mniej jednak i godność obrońcy otoczona jest pewną opieką państwową. Wymagane bywa od nich pewne specyalne wykształcenie i nareszcie zostają pod pewnym nadzorem prezesów właściwych sądów. W cesarstwie obrońcy mają prawa korporacyjne t. j. 20 przynajmniej obrońców przy izbie sądowej mogą utworzyć radę, która rozciąga nad swemi członkami władzę dyscyplinarną, przyjmuje do swego grona jednych a drugich z niego wyłącza, rozdziela wynagrodzenie, a raczej część jego słowem ma taką władzę nad obrońcami jaką mieć będą u nas sądy. Nadto oprócz rady istniejącej przy izbie mogą być utworzone i inne, od niej zależne w każdej miejscowości okręgu sądowego danej izby w której znajdzie się przynajmniej 10 obrońców. Prawa korporacyjne obrońców, ich rady, równie jak odpowiadające im rady komorników, mogą wywierać bardzo zbawienny wpływ na podniesienie adwokatury, zbyt może egoistycznej tam gdzie ją nie wiążą żadne węzły, które mogłyby łacniej wciągnąć cały ten zastęp w koło solidarnej działalności społecznej, i wyrobić pośród niego silniejsze prądy moralne.

Obok jednak w podobny lub inny sposób przez władzę państwową uorganizowanych, każda jednostka powinna mieć prawo sama bezpośrednio bronić swych intereów, lub w danych razach wyznaczać pełnomocników prywatnych. W społeczeństwach niezbyt jeszcze wyrobionych i posiadających dużo niezdrowych żywiołów, pragnących wyzyskiwać nieświadome jednostki, najlepiej jest jeżeli pełnomocnictwo osób prywatnych ograniczane bywa tylko do osób, które w jakikolwiekbądź sposób blisko są związane z osobą bezpośrednio zainteresowanego. Pełnomocnictwo to jednak w cesarstwie w obec braku rzeczywistych obrońców do pewnego nieoznaczonego czasu zbytnio rozszerzone zostało z wyraźną szkodą samego społeczeństwa. Jakie w tej mierze u nas zaprowadzone będą przepisy niewiadomo jeszcze dokładnie, w obec jednak położenia wprost przeciwnego położeniu cesarstwa, t. j. w obec wielkiej, może nawet za wielkiej liczby obrońców, zbytnie rozszerzanie pełnomocnictwa prywatnego miejsca mieć nie powinno. Najlepiejby było zapewne dobrze uwarunkować tylko godność obrońcy odpowiedniemi wymaganiami, nie ograniczając zbytecznie ich liczby, z pozostawieniem naturalnie zupełnej swobody każdej jednostce w bronieniu swych własnych praw. Ten ostatni przywilej posiadać będzie każda jednostka w przyszłej organizacyi. Nadto każdy obrońca będzie mógł stawać przed każdym sądem okręgu danej izby sądowej, przez co zniesioną będzie różnica jaka istnieje u nas obecnie pomiędzy obrońcami.

W krótkich więc, choć może nieco pobieżnych zarysach przedstawiliśmy całą organizacyę sądownictwa i związanych z niem instytucyj. Jak nadmieniliśmy poprzednio jest to tylko część tak zwanego prawa formalnego, które zawiera w sobie oprócz organizacyi jeszcze tak zwaną procedurę, czyli postępowanie cywilne i karne. Przedstawienie jednak form proceduralnych, wkraczając bardziej w sferę specyalną, wychodzi tem samem po za obręb ciasnych ram naszego pisma. Pragnący jednak

obznajmić się bliżej z przyszłą procedurą i szczegółami organizacyi znajdą potrzebne wiadomości w wydanych w tym celu broszurach lub podręcznikach. O podręczniku dla sądów gminnych przygotowywanym przez pp. Miklaszewskiego, Okolskiego i Budzińskiego, profesorów uniwersytetu warszawskiego już wspomnieliśmy, wypada nam tylko polecić jeszcze broszurę prof. Miklaszewskiego p. t. Rys organizacyi sądowej w król. pols. według reformy sądowej, i podobną p. Suligowskiego, wydaną w r. z. jako odbitkę z „Niwy,“ 12 broszurek wydanych staraniem „Gazety polskiej,“ a nareszcie same ustawy z 20 listopada 1864 w języku polskim i ruskim, wraz ze zmianami, jakie w nich zaprowadziło: Postanowienie o wprowadzeniu reformy sądowej w królestwie z d. 19 lutego 1875 r. wydane w r. z. w Petersburgu. Zwracamy także uwagę na wychodzącą w Warszawie „Gazetę Sądową,“ która pilnie zajmuje się sprawami naszego sądownictwa i jego reformą.

Nie możemy również nie zwrócić uwagi naszych czytelników na to, nad wyraz pocieszające zjawisko, że przyszła reforma sądowa zwróciła uwagę naszej prasy, która się nią żywo bardzo zainteresowała, podając liczne artykuły o reformie i dotykając szczególniej najdroższych dla nas spraw gminnych. Droga na którą wstąpiła prasa jest bardzo zbawienną. Tylko zaznajamiając swoich czytelników z rzeczywistym stanem kraju, jego potrzebami i rozumnemi a możliwemi środkami ich zaspokojenia prasa spełni dokładnie swe posłannictwo; wtedy tylko stanie się prawdziwą przodowniczką zbiorowej pracy społecznej. Nie wątpimy że ogół, który bardzo potrzebuje jakiegoś zbiorowego wyrazu opinii, poprze ją na tej drodze i nie pozwoli zwiędnąć w samym zawiązku tym pożytecznym usiłowaniom. *E. P.*

PRZEGLĄD WYSTAWY
SZTUK PIĘKNYCH.

Dawno już wystawa sztuk pięknych nie miała takiej massy nowości jak obecnie. Jak jednak mało pomiędzy tą rzeszą płócien, rzeczy prawdziwej wartości, przekonać się możemy z pobieżnego chociaż przeglądu. P. Dylczyńskiego płótno pod nazwą „Domowa edukacya“ bez powietrza i perspektywy namalowane, przedmiot zwyczajny, nic a nic wspólnego z nazwiskiem obrazka nie mający. Równie dobrze można go było nazwać: „zdjęte buty“ albo „chleb z masłem,“ które to przedmioty, figurują na obrazku. Po autorze Fausta mieliśmy prawo zupełnie czego innego się spodziewać. Zresztą twarz chłopca wcale nie brzydka, malowanie jasne i rysunek dobry.

Pana Kostrzewskiego „Poczciwy koleżka“ i „najnowszy konkurent“ są to dwie karykatury kolorowane, w których prawda posunięta aż za krańce realizmu, nie cofa się nawet przed brzydotą. W pierwszej z nich przedstawiona jakby scena z komedyi: „Majster i Czeladnik“ z tą różnicą że nie w sklepie ale przed sklepem rzecz się dzieje. W drugiej papa obywatel, czy też sąsiad przedstawia jakiegoś łysego jegomościa, mamie i panience, która zażenowana lub bojąc się wybuchnąć śmiechem na widok podtatusiałego adonisa na pół się kryje za matkę i ciągnie ją za rękaw. Po co ten ostatni manewr, niewiemy.

W trzecim obrazku pana Kostrzewskiego t. j. „Na polowaniu z naganką“ ruch wyborny, rysunek figur zgodny z prawdą. Szkoda tylko że pan K. posiada tak szczupłą kolekcyę fizyonomij, że twarze u niego bardzo często się powtarzają, czemu zupełnie dziwić się nie można; bo przy takim ogromie pracy jakiego dokonywa pan K. trudno mu się niewyczerpać. Zawsze jednak, szczególniej olejne obrazy jego z przyjemnością witamy.

Pobieżność w traktowaniu także coraz jaskrawiej przebija w pracach pana K. Figurki w obrazku tym są nie wykończone zupełnie, niektóre z nich na podmalówkę zaledwie wyglądają. W zeszłym roku pan K. dał na wystawę trzynaście płócien i akwarelli, szkoda że nie trzy a lepiej wykończone.

Druga z wymienionych akwarelli oznacza się humorem i dowcipem, z którego jaki niemiecki dramaturg wykroiłby ze dwie „Marye-Magdaleny.“

Streita obrazek niewielki przedstawia damę w ciemnej sukni koloru Bismarcka z takiemiż kokardami we włosach która siedząca, przy stoliku zapytuje kwiatka „kocha czy nie kocha.“ Zaręczyć możemy że nie kocha, chyba że ma gust lubujący się w takich pomarańczowych twarzach, jaką ma ta nie pierwszej już młodości zakochana. W drugim obrazku pana Streita, dzieciątko w kolebce, w chacie wieśniaczej zostało samo i przy niem tylko pies jako „pierwszy przyjaciel.“ Wszystko takiem miłem, serdecznem ciepłem owiane, że trudno uwierzyć ażeby z pod jednego pędzla wyjść mogły dwa płótna tak niezmiernie odskakujące od siebie pod względem wartości.

Światełko w tylnym oknie z taką prawdą pochwycone, pies taki prawdziwy, dziecko tak ślicznie namalowane, że trudno oderwać się od tej kruszynki uśpionej.

Obrazek ten choć z życia ludu naszego, mógłby na każdej wystawie w Paryżu czy Wiedniu figurować z równem powodzeniem jak u nas. Podobny kosmopolityzm jest kamieniem probierczym dla sztuki.

Pana Szwojnickiego „Każdy wiek ma swoje prawa“ amant z prowincyonalnego teatrzyku, prawi czułości damie siedzącej przy pianinie, podczas kiedy w głębi babcia drzemie najspokojniej. Na ścianie po nad babcią obraz przedstawiający zdaje się dwa manekiny uciekające z pracowni malarza. Całość dobrze kolorowana, ale rysunek wadliwy.

Pan Buchbinder Szymon przedwcześnie dał kilka studyów, ale widać z nich postęp, pracę i talent.

Pana Łosik „Przyszła kokietka“ w różowej sukience widocznie trochę zaciasnej, z niezgrabnemi nogami, włożyła na siebie jakąś żółtą draperyę i z uśmiechem za nadto odkrywającym zęby spogląda w lustro. Obrazek bardzo wesoły, ale w całości brak harmonii kolorów.

Pana Chełmońskiego „Letni wieczór.“ Plecami do widzów zwrócona z rękami kurczowo w tył wyrzuconemi, powyginana na wszystkie strony siedzi kobieta przy oknie, przez które widać parę gwiazd na niebie i „Babskie lato“ czy też gryzące się psy trudno rozpoznać. Jako faworyt jeden pies do pokoju się zabłąkał. Za drzwiami dwie czarne na czarnem tle postacie z których jedna zdaje się z fajką, druga zaś wisi. Zapadający wieczór rzuca szary cień na cały ten obrazek, którego szkoda że pan Chełmoński w jeszcze wiele ciemniejszym tonie nie utrzymał. Na drugim obrazie jakaś dziewka przebrana za pannę w kapeluszu z niebieską zasłoną, w obrzydliwych czerwonych rękawiczkach i dwie inne męzkie figury przyglądają się dzielnemu koniowi którego parobczak trzyma za uzdę; na drugim planie inny służalec najnieszczęśliwiej w świecie narysowany, pędzi odprowadzając trzy prześliczne konie. Kilka psów, parę czarnych plam w głębi, na ostatnim zaś planie cały rząd białych światełek których wytłómaczyć sobie nie umiemy, ot wszystko.

I w tej pracy pana Chełmońskiego jak w innych, widać niesłychaną pamięć, która potrafi pochwycić naturę w jednej chwili. Figury tak wybornie namalowane, szczególniej szlachcic na pierwszym planie i żółty pies przy nim siedzący, że ruszają się prawie w oczach.

Pana Perl „Pocztylion i cztery konie przed karczmą,“ dobrze malowane, tylko na przedmiot tak dalece od wieków zużyty, doprawdy szkoda było czasu.

Pan Józef Szermentowski dał kilka drobnych okruchów z których „Gniazdo strącone,“ odznacza się rzewnością przedmiotu, a „Gwiazda zaranna“ prześlicznym pomysłem. Ten malutki obrazek to cały poemacik. Na ciemnem tle nieba z obłoków ułożona postać Maryi z Jezusem na ręku. Nogi jej wspierają się na rąbku księżyca, po nad głową zaś płonie gwiazda zaranna. Przed tym obrazkiem długo, długo postać można, i doprawdy wydziwić się nie możemy że od tak dawna wisieć mu pozwalają na wystawie.

P. Sypniewskiego „Walezy“ jest jednym z najlepszych obrazów tego zdolnego malarza. Niewielkie wady w rysunku koni, z których biały stoi na jednej nodze, wynagradzają się doskonale pochwyconym duchem epoki.

P. Kozakiewicza „Emeryt“ ma wiele prawdy, ale szczegóły wyglądają jak gdyby z fotografii kopiowane.

P. Horowitz portret dziewczynki z kwiatami przepyszny. Z prawdziwą przyjemnością każdy zatrzymuje się przed tem płótnem, które mówi prawie do nas. Koloryt, rysunek i akcesorya skończone.

Picarda „Zborowski“ najwięcej budzi uwagi, o nim też obszerniej pomówimy. Z obrazu tego widać, że p. Picard posiada rzeczywisty talent z którym daleko zajść może, szczegóły jak naprzykład dzban i książki pod stołem, makata na ścianie, dywan na stół rzucony, atłas na żupanie młodzieńca w głębi z pałaszem stojącego, sajeta i pas na Zborowskim, futro sobolowe na prawej stronie obrazu leżące, wszystko to wymalowane z skończonym

artyzmem. Grupa lewa ma wyborny ruch. Klucznik doskonały.

Na nieszczęście jednak o perspektywie mowy nie ma, wszystko stoi na tak pochylonej podłodzie, że gdyby nie rama, i sądzący i sądzony, i stół i świadkowie, musieliby pospadać z obrazu.

Zamojskiego nogi niżej krytyki, pod słuckim pasem Zborowski nie ma ani odrobiny ciała, a szlachcic w aksamitnej czapce wyciągnął rękę w zielony kontusz atłasowy ubraną, przynajmniej w naturze o łokieć za długo. Ręka ta wygląda jak gdyby na zapas wymalowana, bo do żadnej z figur należyć nie może, jeżeli przypuścimy, że takiego błędu artysta nie popełnił.

Zamojskiego twarz nie nosi ani śladu polskiego pochodzenia, raczej to węgierski magnat jakiś, nadto zbyt staro wymalowany. Z twarzy jego z po za sędziego powinien przeglądać wróg, czy też kochanek obrażony, ale nie pijany wójt jakiś.

Zborowski, z gminną zupełnie twarzą jakby rzeźnika przedstawiony. A jednak człowiek ten kiedy szedł pod miecz, wołał jeszcze Zamojskiego na sąd Boży, nie chcąc mu przebaczyć; tutaj zaś ma minę studenta, którego za łacinę do kozy wsadzić mają.

Od Walenroda jednak p. Picard zrobił tak olbrzymi przeskok w sztuce, że wcale nie dziwimy się interesowi jaki praca jego budzi. Talent widnieje z tego obrazu i to talent wielki, który pod kierunkiem takiego mistrza jak Matejko spotężnieć może. Więcej tylko starania o kompozycyę, bo akcessorya choćby nawet i tak przepysznie namalowane jak w „Zborowskim“ nie wystarczają.

Maleńki obrazek pana Gepnera „Jagiełło“ w szczegółach bardzo dobry, każdą część z osobna rozpatrując, zakrywszy resztę dłonią, przekonamy się o miniaturowem jej wykończeniu, ale kompozycya żadna, figury w obrazie tak malowane, że rączki mają wypunkcikowane, główki śliczne, ubranie wydłubane prawie, ale całość niesmaczna. W każdym razie z obrazka widać wiele pracy, oryginalności i sumiennych studyów, o które dziś tak trudno.

Pana Gersona „Jagiełło“ jest pod względem kolorytu zupełną nowością dla nas, dotychczas bowiem przyzwyczajeni byliśmy widzieć obrazy tego artysty trzymane w tonie szarym, ten zaś jasnością barw odznacza się. Kompozycya bardzo piękna, wiele w niej myśli, znawstwo historyi i charakterów osób widnieje z obrazu.

„Mgła i deszcz“ tegoż malarza są przedstawione przez dwie śliczne dzieweczki z których pierwsza unosząc się nad ziemią sypie kwiaty, druga zaś z złocistego przetaka sieje deszczyk jesienny, bo zimny.

P. Millera „Leszek biały“ jest także bardzo porządnie namalowany.

Portrety pana Kamińskiego zapewne są podobne, co zaś do tak zwanych kompozycyj pani Duksztyńskiej jak np. „Pierwszy smutek“ i do licznych portretów przez artystę produkowanych, w tych uderza szybka i systematyczna degregolada.

Löfflera „Nauka.“ Zbytnica jakaś śliczniutka jak aniołek, uczy pieska służyć. Jest to jedno z najładniejszych płócien na wystawie, i z całą przyjemnością parę razy do niego wracaliśmy.

Kurelli „Cyganie“ schodzą z gór obrośniętych lasem bez liści. Ruch dobry, w całym obrazie widać wprawnego artystę, umiejącego bez szarży wyeksploatować wszystkie effekta.

W „Śledziarzach“ pana Piechowskiego tylko dwie chłopskie figury dobre, reszta ujdzie.

Heymana studyum starzec w Vandyckowskim stylu dobrze utrzymany.

Pleziera „Rozbicie Meduzy“ i „Amsterdam,“ bardzo piękne dwa obrazy, tylko na pierwszym z nich spokój morza nie usprawiedliwia rozbicia się statku. W czasie burzy inaczej wygląda rozszalały ocean. Bałwany takie jak na obrazie najmniejszego czółna rozbić nie potrafią.

P. Jasińskiego widzieliśmy parę portretów doskonale i z wielkiem podobieństwem namalowanych. Szkoda że p. J. wyłącznie portretami się zajmuje, mogąc w religijnem malarstwie takie piękne rzeczy stwarzać.

P. Ajdukiewicz „Przy żniwie,“ także przedstawił dwa konne portrety, obywatela ziemskiego i chłopczyka na kucyku srokatym. Pretensyonalność układu figur na tym obrazie może iść o lepsze z pozowaniem przy fotografiach. Pejzaż dobry i konie namalowane starannie.

Pomiędzy pejzażami wyróżnia się:

Brzozowskiego krajobraz „Burza w Tatrach“ znakomity, ale nie na burzę, woda nawet zaraz po wodospadzie szybciej płynąć powinna, ale za to jakie tam drzewa, jakie tło obrazu, a co za koloryt wyborny.

Malinowskiego „Ruiny zamku janowieckiego“ dobrze rysowane.

W pejzażu p. Brochockiego lewa strona obrazu daleko staranniej wykończona, aniżeli prawa, tak dalece że na prawo, dom na drugim planie, zupełnie jest niewytłómaczony, za to na lewo woda i brzeg jej bardzo dobrze wymalowane.

P. Skirmunt Helena przedstawiła szachy cyzelowane. Każda z 32 figurek jest tak pięknie pomyślaną i wykończoną, że o podobnej pracy trudno mieć wyobrażenie. Radzimy wszystkim kochającym piękne swojskie rzeczy, ażeby z uwagą przypatrzyć się tym szachom. Po chwili oderwać się od nich nie będą w możności prawie. P. Rygiera „Chrystus“ usprawiedliwia wzrastającą wciąż sławę młodego rzeźbiarza, który obecnie zajęty jest olbrzymią figurą Zbawiciela z miedzi wykutą, która ma ozdobić kościół w Miechowie.

Należy się spodziewać że nowo wybrany komitet, raczy przejść się z uwagą po salach i usunie kilka obrazów które zamiast figurować na ścianach wystawy, mogłyby daleko właściwiej przenieść się na kępę lub na szyld jakiej owocarni.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... wczynie.

XII.

Dowiadujemy się że Komisya Sprawiedliwości ma zamiar wystąpić z projektem do prawa w celu zapobieżenia lichwie szczególniej na wsiach rozpanoszonej. Ciężka to plaga trapiąca lud nasz, w rozmiarach o jakich trudno doprawdy mieć pojęcie, mianowicie w blizkości miasteczek. Ofiarami najczęściej są włościanki, którym usłużna kupcowa pożycza w sekrecie przed mężami po kilka złotych lub rubli.

W piątek następuje wizyta, w czasie której pani kupcowa za procent bierze kawałek masła, kilka jajek, motek przędzy, czasem kurę, jednem słowem wszystko co ma wartość jakąkolwiek.

W ten sposób wyzyskuje dłużniczkę nie biorąc gotówki, o którą włościance zawsze trudno, dług zaś pozostaje nadal długiem.

Uważalibyśmy także za prawdziwe dobrodziejstwo, ażeby Komisya Sprawiedliwości zechciała zwrócić uwagę i na praktykującą się w Warszawie sprzedaż na raty pożyczki premjowej, która zapewne tylko z braku odnośnych paragrafów w kodeksie dotąd jest cierpianą.

* * *

Na posiedzeniu towarzystwa wzajemnego kredytu będzie podniesionym wniosek o rozszerzenie kredytu rolnego, który dotychczas tak w tej jak i w innych instytucyach bankowych raczej kredytem fantazyjnym nazwać godzi się. Wytłómaczymy się z tej nazwy.

Pod formą zaliczek na zastaw towarów każda z tych instytucyj ma prawo przychodzić w pomoc rolnictwu kredytem krótko terminowym. Bank dyskontowy odrazu postawił niemożebny prawie warunek tworzenia kółek rolniczych, których wszyscy członkowie mieli solidarnie poręczać zaciągniętą pożyczkę. Operacye więc podobne nie przyszły do skutku.

Bank handlowy w początkach swej działalności i ten kierunek zaczął rozwijać na szerszy zakrój. Kredyt przyznano wielu osobom wprawdzie szczupły, ale i ta pomoc wiele dobrego robiła, szczególniej przy współdziałaniu kilku zręcznych ajentów. Najprzykrzejszą w całej tej sprawie rzeczą była wieczna niepewność czy weksel przejdzie czy nie. Właściciel ziemski który miał przyznany sobie kredyt na rs. 3,000, często i połowy tej summy nie podniósł, kiedy zaś chciał zaciągnąć pożyczkę na pokrycie w terminie wekslu, raptem z niemiłem zdziwieniem dowiadywał się, bank nieprzyjął kontraktu nowego na zboże i że trzeba zapłacić dług pod grozą protestu i wiecznej utraty kredytu. Upadek Tellusa, a podobno i skargi w pismach na zbyt wysoki procent od zaliczeń, spowodowały stopniowe usunięcie się banku od operacyj tego rodzaju, na czem ajenci i ziemianie wiele potracili w chwili wymówienia kredytu. Drobni handlarze chwilowo zachwiani w interesach podnieśli głowy i w obec znacznego żądania gotówki na pokrycie należności bankowi, zażądali wyższych daleko procentów, ażeby powetować czas stracony. Następnie rzeczy wróciły do dawnego stanu i bez kredytu bankowego każdy radzi sobie jak może.

Towarzystwo wzajemnego kredytu, z powodów o których dowiemy się na posiedzeniu, także wycofało się z kredytu rolnego. Być może pod wpływem paniki przez Tellusa spowodowanej, potentaci finansowi stracili zaufanie do właścicieli ziemskich, a może też i skład

rady zarządzającej wyłącznie z kapitalistów i przemysłowców warszawskich złożonej, przyczynił się do stanu rzeczy jaki praktykuje się obecnie. W takim razie wina byłaby po stronie właścicieli ziemskich, którzy stanowiąc znaczną liczbę członków towarzystwa, nie przeprowadzają przy wyborach swoich kandydatów, na czem własne ich interesa cierpią najwięcej.

* * *

Ze zwykłym sobie dowcipem „Mucha“ w jednym z ostatnich numerów, wysmażyła koncept o zmianie wydawcy czy też współwłaściciela naszego pisma, chociaż cała rzecz redukuje się tylko do wejścia jednego współpracownika w skład redakcyi. Podobna zaczepka tem niewłaściwszą nam się wydaje, że „Mucha“ od czasu swej egzystencyi miała już Bóg wie ilu redaktorów, jak zaś wychodzi na tych częstych zmianach, czytelnicy najlepiej osądzić mogą.

* * *

Wielu członków towarzystwa muzycznego w celu uczczenia jednorocznej działalności dyrektorskiej p. Józefa Wieniawskiego, w sobotę d. 18 b. m. wyprawiało mu owacyę z kantatą, fotografiami i tem podobnemi historyami. Dowodzi to że u nas każde stowarzyszenie oprócz urzędowego tytułu powinno dodawać jeszcze prywatny. Nazwy towarzystwa muzycznego i wzajemnej admiracyi, kassa pożyczkowa i wzajemna familijna adoracya i t. d. bardzo byłyby na czasie, i warto więc o podobnem ulepszeniu raz już pomyśleć.

* * *

Deski położone na chodnikach mostu zdarły się już porządnie, zapewne więc zmieniać je będą. Pozwalamy więc sobie zwrócić uwagę zarządu miasta czy nie byłoby raz już stosownem zamiast podłogi drewnianej najniewłaściwiej na moście położonej, dać chodniki asfaltowe, które nie wymagałyby tak kosztownej konserwacyi jak te nieszczęśliwe deski, corocznie zmieniane po to tylko, ażeby na przyszły rok znów je usuwać.

Koszt asfaltu nie jest tak przerażający, bo 400 metrów długości przy 1,5 szerokości czyni 600 metrów kwadratowych, których cena nie przechodzi rubla, cała więc radykalna przeróbka kosztować będzie najwyżej 2,000 rubli. Chodnik asfaltowy w tej miejscowości może 10 lat bez konserwacyi egzystować, rocznie więc kosztuje rs. 200, policzmy teraz utrzymanie podłogi drewnianej.

Głównie strona prawa mostu jako więcej uczęszczana cierpi, tutaj więc corocznie trzeba kłaść nową podłogę, na którą wychodzi około 1000 desek 3-calowych, których łokieć kosztuje po kop. 45. materyał więc wynosi rocznie rubli 450. gwoździe rubli 60, robota do 200 rubli. Konserwacya lewego chodnika zapewne o połowę mniej kosztuje, razem więc wydaje miasto rocznie rubli blisko 1000 na to tylko, ażeby w lecie od lada papierosa zapalił się most żelazny, niebywałym w kronice mostów wypadkiem. Nie wiemy o ile ceny podane przez nas zgadzają się z anszlagiem tych robót, ale powinny być nie zbyt od niego dalekie.

Kosztem więc dwuletniej konserwacyi mamy w ciągu dziesięciu lat około 10,000 rubli oszczędności daleko korzystniej dającej użyć się, aniżeli praktykowało się dotąd, przy marnotrawstwie desek, które na zmianę powietrza wystawione, przy takim zwłaszcza ruchu jaki na moście ustawicznie panuje, muszą się corocznie psuć, narażając miasto na niepotrzebny zupełnie wydatek.

Na Krakowskiem znów przedmieściu kawałek asfaltowego bruku na środku ulicy położony, z wytrwałością godną pochwały cały rok na jednym końcu zalewają, podczas kiedy na drugim zęby wybić sobie można przejeżdżając po zepsutym asfalcie. Kilkoletnie doświadczenie powinnoby już nauczyć że asfalt wyborny na chodniki, na nic się nie zdał jako bruk, w naszym klimacie szczególniej. Zamiast więc tej danajdowskiej pracy zadymiającej cały boży rok ulicę, możeby raz zastąpić go żelaznym brukiem, albo granitowemi kostkami i zapomnieć że kiedyś asfalt egzystował w tem miejscu. Z podobnego zaklętego kółka raz przecie wyjść trzeba.

* * *

Na posiedzeniu Tow. zachęty sztuk pięknych, przy wyborach komitetu otrzymali większość głosów z amatorów: pp. Kossakowski 114, Sobański 104, Skimborowicz 80, Wierzchlejski 80, Jenike 54, Zamojski Stanisław 51; artystów: Lesser 91, Gerson 79, Brodowski 67, Szimelfenig 62, Rygier 60, Cichocki 54. Głosujących było 121.

Sprawozdanie za 1875 rok obejmuje:

Sprawozdanie delegacyi rachunkowej wykazujące że dochód w 1875 roku wynosił z biletów wejścia rs. 1601, składki członków dały rs. 9271 kop. 50, w ogóle zaś z wszystkich źródeł rs. 12,958 kop. 44. Rozchód na zakup obrazów rs. 5,783, na reprodukcyę rs. 1,807 kop. 50, na stypendya rs. 344. W ogóle bilans wykazuje w gotówce majątek na rs. 9,685 kop. 18 jako własność towarzystwa, oprócz inwentarza na rs. 9,219 kop. 56 obliczonego. Członków było 1,977, przybyło 220, ubyło 111.

Zapowiedziany wniosek p. Jenikego dotyczący pobierania od członków rzeczywistych składki za trzy lata z góry, nie był odczytany wcale.

W ogóle wszystko jak najlepiej poszło dla Towarzystwa w roku 1875, bo i obrazów w prezencie dostało 20, pomiędzy któremi kilka bardzo ładnych i pieniędzy odłożyło przeszło 800 rubli, ale z przerażeniem dowiedzieliśmy się że w skutek postanowienia komitetu wezwano pp. artystów ażeby nadesłali portrety swoje do zbiorów towarzystwa. Pan Jan Wróblewski proponował uznanie nagłości tego wniosku? Pytamy się po co nam te portrety? i przyjmując nawet że wszyscy malarze pospieszą z własnemi i kolegów budowniczych konterfektami, dostaniemy 106 portretów, na rozwieszenie których potrzeba będzie drugą salę wynająć.

Nie zapomnijmy zaś i o tem że wielu artystów mieszkających za granicą także mogłoby mieć pewne prawo do znalezienia się w podobnej galeryi, że wymienimy tylko Matejkę i Rodakowskiego.

Rozumiemy zawieszenie w sali portretu sławnego artysty w dziesięcioletnią rocznicę śmierci jego, ale potrzeby zebrania kollekcyi z której nikt się niczego nie nauczy, zrozumieć nie możemy zupełnie. Zastanówmy się nad tem, że $^2/_3$ tych portretów będą przedstawiać znakomitości o których za kilka lat po śmierci nikt wiedzieć nie będzie, pod względem zaś artystycznej wartości trudno przypuścić ażeby każdy z tych portretów był wart figurowania nawet na wystawie.

Jeżeli 14 rzeźbiarzy nadeszle swoje posągi naturalnej wielkości, można będzie od biedy postawić je na froncie dachu, albo w rzędzie przed domem, przez co nawet przyozdobi się ulica, ale powiedzcie, na miłość sztuki zaklinam, co robić z taką portretów lawiną grożącą wypędzeniem innych obrazów z sali.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dalszy ciąg).

XXII.

Od 24 października do 1 grudnia. Płyniemy więc na okręcie którego trwałość jest podejrzaną, na szczęście jednak nie myślimy o długiej podróży. Mamy tylko 800 mil do przebycia. Jeżeli wiatr północno-wschodni utrzyma się przez parę dni, Chancellor popychany nim z łatwością dobije brzegów Guyanny.

Żeglujemy na południo-zachód. Pierwsze dnie przechodzą szczęśliwie. Kierunek wiatru ciągle jest dobry, ale Robert Kurtis nie chce rozwinąć wszystkich żagli, obawiając się aby zbyt szybkie płynienie nie spowodowało zepsucia jakiego ze świeżo zreperowanych otworów.

Smutna bo to i przeprawa, jeżeli się nie ma zaufania do statku, który nas wiezie. Oprócz tego zamiast iść naprzód wracamy się. To też każdy pogrąża się w myślach, i na pokładzie brak tego ożywienia jakie zwykle panuje w czasie szybkiej i pewnej żeglugi.

29-go wiatr wykręcił się więcej od północy, nie można więc trzymać poprzednio nadanego kierunku; musieliśmy zoryentować żagle z linami z prawej strony, stąd dosyć silne pochylenie okrętu, którego aby uniknąć, jako zbyt niebezpiecznego dla Chancellora, Kurtis rozkazał zwinąć żagle bocianego gniazda.

Podzieliliśmy najzupełniej zdanie kapitana, albowiem nie tyle nam idzie o szybką jak o pewną i bezpieczną przeprawę.

Noc z 29 na 30 była ciemna i mglista, wiatr coraz silniejszy pchał nas ku północo-wschodowi. Pasażerowie po większej części siedzą w kajutach, ale Kurtis i cała załoga ciągle zostaje na pokładzie. Okręt zawsze mocno się pochyla, pomimo zwinięcia wszystkich żagli górnych. Nad ranem około drugiej chciałem zejść do kajuty, kiedy jeden z majtków Burke, znajdujący się pod pokładem wybiegł żywo i zawołał: — Dwie stóp wody.

Kurtis i bosman szybko zbiegli po schodkach i przekonali się że smutna nowina była na nieszczęście zupełnie prawdziwą.

Czy otwór pomimo wszelkich starań znów się odkrył, czy też spojenia źle zmocowane roz-

stąpiły się, nie wiemy; dość, że woda szybko przybiera na dnie okrętu.

Kapitan powróciwszy na okręt puścił z wiatrem oczekując dnia. Z pierwszym brzaskiem jutrzenki sondowanie wykazało trzy stopy wody.

Spojrzałem na Kurtisa, zbladł ale nie stracił ani na chwilę zimnej krwi. Podróżni wybiegli na pokład; wyjawiono im całą prawdę, nie było bowiem racyi ukrywania.

—Czy nowe nieszczęście jakie? zapytał Letourneur.

—To było do przewidzenia, odpowiedziałem, ale nie daleko już jesteśmy od lądu i mam nadzieję, że nic złego nas nie spotka.

— Oby Bóg pana wysłuchał! rzekł p. Letourneur.

— Alboż to Bóg jest na okręcie? zapytał Falsten.

— Jest panie, odezwała się miss Herbey.

Inżynier zamilkł przed tą odpowiedzią pełną wiary, która nie rezonuje.

Robert Kurtis wydał rozkaz pompowania. Załoga wzięła się do roboty z większą rezygnacyą aniżeli zapałem; majtkowie wiedząc że w pompach cała ich nadzieja, na przemian zmieniali się przy drągach.

Podczas dnia znowu sądowano okręt i przekonano się że woda przybiera wolno ale bezustannie, wewnątrz okrętu. Na nieszczęście pompy przez częste używanie psują się często, i trzeba bezustannie je reperować. Czasem także zdarza się, że bywają zatkane przez popiół albo szmaty bawełny, stąd więc czyszczenie musi się powtarzać parę razy ze stratą pracy wykonanej.

Nazajutrz przekonano się, że wody jest na pięć stóp. Jeśliby więc zaszła jaka przeszkoda w pompowaniu, okręt napełniłby się. Było by to już tylko kwestyą czasu i to bardzo krótkiego. Linia zanurzenia Chancellora wynosi już stopę, kołysanie jest coraz trudniejsze, bo bardzo ciężko okrętowi wznosić się na falach. Uważam że kapitan Kurtis marszczy brwi za każdym raportem, zdanym przez bosmana lub porucznika, to jest złą wróżbą.

Pompowanie trwało cały dzień i całą noc. Morze jeszcze nas zwyciężyło. Załoga jest wycieńczoną. Oznaki zniechęcenia rozszerzają się między ludźmi. Bosman i porucznik dają dobry przykład i pasażerowie zajmują miejsca przy pompach.

Położenie już nie jest to jakie było gdy Chancellor osiadł na lądzie stałym Ham-Rock. Statek nasz buja teraz nad przepaścią, która go lada chwila może pochłonąć.

XXIII.

Od 2 do 3 grudnia. Przez 24 godzin jeszcze walczymy z energią i przeszkadzamy wzrostowi wody wewnątrz okrętu; ale widocznem jest że wkrótce nadejdzie chwila kiedy pompy nie wystarczą nawet na wyrzucanie ilości wody równej przybierającej. Przez ten dzień kapitan Kurtis który ani chwili nie spoczywa, zwiedza osobiście dno okrętu, cieśla, bosman i ja towarzyszemy mu.

Odrzucono kilka pak bawełny, poczem usłyszeliśmy wyraźnie gulgotanie wody. Czy otwór znów się zepsuł, czy cały kadłub zrujnował się do reszty? Nie wiemy. Na wszelki wypadek Robert Kurtis, ażeby uczynić ściany okrętu mniej przemakającemi, kazał cały tył okrętu obciągnąć płótnem smołowcowem. W ten sposób może się uda przerwać napływ wody z zewnątrz. Przyczem natychmiast wypompowalibyśmy wodę i ulżyli okrętowi. Nie tak to łatwo jednak dokonać jak się zdawało. Potrzeba najpierw zmniejszyć szybkość okrętu, następne zaś płócienne szmaty przytrzymywane na linach podciągnięto pod spód okrętu, aż do miejsca gdzie poprzednio był otwór, tak że cały kadłub Chancellora zawinięto jak w powijaki.

Po uskutecznieniu tej roboty pompy znów zagrały i wzięliśmy się z całym zapałem do roboty. Woda wpływa wprawdzie do okrętu jednak w daleko mniejszej ilości i nad wieczorem przekonaliśmy się że ubyło kilka cali wody. Kilka cali wszystkiego! ale i to wygrana. Pompy wyrzucają wody więcej aniżeli jej przybywa, na chwilę więc niepozwalamy sobie spocząć. Wiatr daleko silniej dmie tej nocy, pomimo to Kurtis kazał rozpuścić wszystkie żagle; znając doskonale stan okrętu, chce jak najprędzej przybić do lądu. W razie spotkania się w drodze z jakimkolwiek okrętem, ma zamiar wywiesić sygnały trwogi i przesadzić podróżnych, załogę, sam zaś nie ustąpi z Chancellora aż do ostatniej chwili.

Wszystkie te jednak plany nie miały się spełnić. W nocy, pod ciśnieniem zewnętrznem płótno ustąpiło i nazajutrz 3 grudnia, bosman po sondowaniu, nie mógł wstrzymać przekleństwa i wykrzyku: — Jeszcze 6 stóp wody na spodzie!

Na nieszczęście tak było w samej rzeczy!

Okręt znów się napełnia, widocznie zagłębia się i linia wodna podnosi się coraz wyżej.

Pomimo tego, pompy znów nie ustają na chwilę, wyczerpując ostatek sił naszych. Ręce mdleją, krew płynie z za paznokci, wszystkie jednak wysiłki marnują się nadaremnie, woda bezustanku przybiera.

Robert Kurtis ustawił nas rzędem i z otworu wielkiej klapy wydobywamy wodę kubłami, wylewając potem za pokład. Wszystko napróżno! O wpół do dziewiątej rano, znów sprawdzono głębokość, i przekonaliśmy się że wody przybyło na spodzie. Rozpacz opanowała niektórych majtków.

Kurtis zachęca ich do pracy — odmawiają.

Jeden z nich doradca i przewodnik buntu, człowiek złośliwy o którym wyżej już wspomniałem nazywa się Owen.

Lat około czterdziestu, z brodą rudawą, twarz zresztą bez zarostu, z wargami ściętemi, oczy ma szare z czerwonemi powiekami, nos prosty, uszy odstające, czoło pokryte zmarszczkami.

On to najpierwszy zszedł z stanowiska. Kilku towarzyszy naśladowało go; pomiędzy innymi zauważyłem kucharza Iynkstropa, także ladaco.

Na rozkaz Kurtis zachęcającego do wzięcia się znów do pracy, Owen odpowiedział stanowczą odmową.

Kapitan powtórzył rozkaz.

Owen powtórnie odmówił.

Kurtis zbliżył się do nieposłusznego majtka.

— Nie radzę panu dotknąć się do mnie! zimnym głosem powiedział Owen i usiadł na krawędzi okrętu.

Wtedy Kurtis wszedł do kajuty i za chwilę powrócił z nabitym rewolwerem.

Owen przez chwilę popatrzył na kapitana, potem zaś na znak Iynkstropa, znów powrócił do roboty.

XXIV.

4 grudnia. Pierwsze oznaki buntu znikły pod energią i determinacyą kapitana. Czy na przyszłość tak samo się powiedzie? Należy mieć nadzieję, bo brak posłuszeństwa pomiędzy załogą, byłby dla nas straszliwym ciosem.

W nocy pompy przestały działać.

Okręt coraz ciężej porusza się, a że zbyt trudno mu jest unosić się na falach, bałwany więc zalewają pokład i przez klapy dostają się na spód. Nowy przybytek wody.

Położenie stało się równie groźnem jak pod koniec pożaru. Podróżni i załoga czują że okręt zaczyna im uciekać z pod nóg. Widzą że woda powoli lecz ciągle wznosi się, grożąc im zarówno jak płomienie.

Załoga zresztą w skutek groźb Kurtisa pracuje ciągle i chcąc nie chcąc majtkowie energicznie walczą, sił jednak zaczyna im już brakować.

Ci którzy wydobywają kubły muszą uciekać z pod pokładu, gdzie po pas pogrążeni w wodzie, w każdej chwili mogą być zalani.

Pozostał ostatni środek i nazajutrz po naradzie z porucznikiem i bosmanem, Kurtis postanowił opuścić okręt, a że łódka nie byłaby w stanie pomieścić nas wszystkich, postanowiono natychmiast zbudować tratwę.

Załoga ma pracować przy pompach aż do odpłynięcia. Cieśla Daulas dostał zlecenie bezzwłocznie przystąpić do roboty.

Uradzono że tratwa będzie zbudowaną z zapasowych rei i desek poprzednio przyrżniętych podług miary.

Tym sposobem, po zbiciu ich będziemy mieli silne rusztowanie, na którem spocznie pokład tratwy długiej na 40 a szerokiej około 20 do 25 stóp.

Kurtis, Falsten, cieśla i dziesięciu majtków natychmiast wzięli się do pił i toporów, któremi przyrzynają reje i deski.

Reszta załogi wraz z podróżnymi ciągle pracuje przy pompach. Obok mnie stoi Andrzej, na którego ojciec pogląda z głębokim smutkiem. Co stanie się z biednym chłopcem, jeśli będzie musiał walczyć z falami w warunkach z których najsilniej zbudowanemu mężczyznie, trudno byłoby uratować się.

W każdym razie będziemy we dwóch około niego i nie opuścimy w danej chwili.

Przed panią Kear, która w skutek ciągłej senności, straciła prawie władzę myślenia, ukryto cały ogrom niebezpieczeństwa.

Panna Herbey wychodzi na pokład, ale tylko na kilka minut. Pobladła z zmęczenia, ale sił nie utraciła wcale. Zaleciłem jej, ażeby na wszelki wypadek była gotową.

— Jestem przygotowaną na wszystko, odrzekła mi śmiała dziewczyna, poczem wróciła do pani Kear.

Wzrok Andrzeja Letourneur pobiegł za nią, i wyraz głębokiego smutku wyrył się na jego twarzy.

Około ósmej wieczorem ukończono prawie wiązanie tratwy. Spuszczono próżne i mocno

zatkane beczułki, których przeznaczeniem jest, ażeby silnie przymocowane do tratwy, łatwiej ją unosiły na falach.

W dwie godziny później rozległy się krzyki w kajucie z której wybiegł p. Kear wołając: Toniemy! Okręt się topi! W chwilę potem p. Herbey i Falsten wynieśli omdlałą panię Kear.

Rozpaczliwe wołania ciągle się powtarzają, zamęt na okręcie nie do opisania.

Robert Kurtis wbiegł do kajuty, wynosząc mappę, sextant i busolę.

Załoga rzuciła się do tratwy, na której jednak dla braku pokładu nie można szukać ratunku.

Trudno opisać wszystkie myśli które przebiegły przez moję głowę, trudno wypowiedzieć to szybkie jasnowidzenie, w którem ujrzałem całe życie moje!

Zdawało się, że całe moje istnienie zamknęło się w tej ostatniej chwili! Czułem usuwające się wraz zemną deski okrętu. Ujrzałem wznoszącą się wodę, jak gdyby ocean rosł podemną.

Kilku majtków schroniło się na maszty z rozpaczliwymi okrzykami. Chciałem iść za ich przykładem.

Czyjaś ręka mnie zatrzymała. To p. Letourneur z oczami pełnemi łez, wskazał mi swojego syna.

— Tak, zawołałem ściskając go konwulsyjnie za rękę. We dwóch ocalimy go.

Zanim zdążyłem to powiedzieć, Kurtis pochwycił Andrzeja unosząc go ku bocianiemu gniazdu, kiedy Chancellor zwykle dotąd szybko popychany wiatrem, zatrzymał się nagle. Uczuliśmy silne wstrząśnienie.

Okręt pogrążył się w morze! Woda zalewa mi kolana. Instynktownie pochwyciłem za jakąś linę.... Raptem jednak pogrążanie wstrzymało się, i Chancellor którego pokład zatopił się o dwie stopy pod poziom morza, stanął nieruchomy.

XXV.

W nocy z 4 na 5 grudnia. Robert Kurtis przebiegłszy zalany pokład zaniósł Andrzeja na bocianie gniazdo, gdzie i p. Letourneur także wdrapał się wraz ze mną.

Spojrzałem na około siebie, o ile pozwoliła mi noc dość jasna. Kapitan powrócił na swoje stanowisko na wystawce. Na samym tyle statku pod wzniesieniem dotąd niezatopionem, widać w cieniu pana Kear, jego żonę, pannę Herbey i Falstena. Na krańcu przednim porucznik i bosman, reszta załogi pouczepiana na masztach.

Andrzej Letourneur wgramolił się na najwyższą platformę bocianego gniazda. Biedny ojciec musiał mu ustawiać nogę na każdym stopniu drabiny sznurowej, pomimo kołysania której, dostał się na górę bez przypadku.

Nie ma jednak środka przekonania pani Kear, która za nic w świecie nie chce ustąpić z wystawki, narażając się na porwanie przez lada silniejszy bałwan. Panna Herbey nie chciała rozstać się z swoją panią i pozostała przy niej.

Najpierwszem staraniem Kurtisa jak tylko okręt zaprzestał się pogrążać było rozpuszczenie wszystkich żagli, potem zaś zrzucono reje przy masztach ażeby tym sposobem zapewnić równowagę okrętu; zdaje się że okręt nie przechyli się na żadną stronę, może jednak co chwila iść na dno. Zbliżyłem się do Kurtisa zapytując, co myśli o tem.

— Czy ja mogę wiedzieć, odrzekł zupełnie spokojnym głosem. To zależy od stanu morza. To pewno, że w tej chwili okręt stanął w równowadze, którą jednak za chwilę utracić może!

— Czy Chancellor może płynąć teraz, mając dwie stóp wody na pokładzie?

— Nie panie Kazallon, może jednak posuwać się bokiem pod działaniem prądów i wiatru, i jeżeli utrzyma się w ten sposób przez parę dni, to dowiezie nas do lądu. Oprócz tego, jako ostatni ratunek mamy tratwę, którą za kilka godzin ukończę; równo z świtem odpłyniemy.

— Więc masz pan jeszcze jakąkolwiek nadzieję?

— A poćóż się z nią rozstawać, panie Kazallon, nawet w najcięższych okolicznościach. Mogę pana zapewnić że jeżeli mamy przeciwko sobie 99 szans zagłady, pozostaje nam jeszcze jedna szansa wyratowania się. Jeżeli się nie mylę, to Chancellor w połowie zatopiony, znajduje się w tych samych warunkach, w jakich w 1795 r. uratowano statek trzymasztowy *Junona*. Przez 20 dni wisiał on pomiędzy dwoma wodami. Podróżni i załoga schronili się na wierzchołki masztów, i kiedy nareszcie ukazała się ziemia, wszyscy którzy wytrzymali głód i zmęczenie, ocalili się na łodziach rybackich! Jest to fakt zbyt znany w dziejach żeglarstwa, ażebyś pan także nie przypominał go sobie! Dla czegoż więc *Chancellor* nie ma być równie szczęśliwym jak *Juno*.

Może byłoby wiele do odpowiedzenia kapitanowi, ale ze wszystkiego okazuje się że Kurtis nie utracił dotąd nadziei.

Ponieważ jednak równowaga okrętu w każdej chwili może się zachwiać, lepiej więc jak najprędzej opuścić Chancellora; uradzono więc ażeby nazajutrz, jak tylko cieśla ukończy tratwę, natychmiast odpływać.

Wystawcie sobie teraz rozpacz załogi, kiedy około północy Daulas spostrzegł, że rusztowanie tratwy zniknęło! Liny powstrzymujące go pękły przy zatonięciu okrętu i wiązanie odpłynęło zapewnie już przed godziną przynajmniej!

Majtkowie dowiedziawszy się o tem nowem nieszczęściu, zaczęli rozpaczliwie wołać: Ścinać maszty! spuszczać maszty w morze!

I nie zastanawiając się nad niewłaściwością postępowania chcą rąbać maszty: z nich zbijać tratwę.

Ale Robert Kurtis zapobiegł temu.

— Na miejscu chłopcy, zawołał. Niech nikt nie waży się przeciąć chociażby postronka bez mojego rozkazu. Chancellor jest w równowadze! Chancellor nie zatonie tak prędko!

Chcąc niechcąc usłuchali go, i każdy wrócił na wskazane miejsce.

Jak tylko rozwidniło się Robert Kurtis wspiął się na szczyt okrętu, troskliwie rozglądając się po morzu na około okrętu i szukając okiem tratwy.

Próżne usiłowania! Zniknęła. Spuszczenie łódki dla poszukiwań jest niepodobieństwem z powodu silnego kołysania się bałwanów. Zresztą do niczego nie mogłoby doprowadzić.

Trzeba więc natychmiast przystąpić do budowania nowej tratwy.

Pani Kear zdecydowała się nareszcie ustąpić z wystawki i dostała się na pokład bocianiego gniazda, gdzie upadła bez zmysłów.

Pan Kear razem z Silasem Huntley są na przednim maszcie. Obok pani Kear i panny Herbey obrali sobie miejsce Letourneurowie. Naturalnie jest im zbyt ciasno na platformie mającej zaledwie 12 stóp średnicy. Pomiędzy bocianiemi gniazdami przeciągnięto druty zabezpieczające od zbytniego kołysania się.

Kurtis kazał rozciągnąć po nad platformą kawał płótna, przez co zabezpieczył kobiety od skwaru słońca.

Na szczęście schwytano kilka baryłek pływających pomiędzy masztami okrętu po zatonięciu. Jest w nich mięso wędzone, suchary i woda słodka stanowią cały nasz zapas.

d. c. n.

OD REDAKCYI.

„Opiekun Domowy" w przyszłym kwartale r. b. wychodzić będzie w tym samym formacie i treści i pod tą samą jak dotąd Redakcyą.

Przedpłata wynosi

w WARSZAWIE:

Rocznie	**Rsr. 6**	**kop.**	**—**
Półrocznie	**„ 3**	**„**	**—**
Kwartalnie	**„ 1**	**„**	**50**
Miesięcznie	**„ —**	**„**	**50**

Za odniesienie do domu nic się nie dopłaca.

Na PROWINCYI i w CESARSTWIE prenumerata łącznie z opakowaniem i kosztami przesyłki wynosi:

Rocznie	**Rsr.**	**8**
Półrocznie	**„**	**4**
Kwartalnie	**„**	**2**

Adres Wydawcy: Ulica Ś-to Jerska Nr. 12 nowy.

Dla uniknienia zwłoki w wysyłce Numerów pisma, Redakcya ma zaszczyt upraszać o wczesne nadsyłanie zamówień, przy wypisaniu dokładnego adresu pod jakim pismo ma być przesyłane.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 (22) Марта 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.